Nr. 19. Lwów — Środa dnia 23 Stycznia. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jako o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: rz. k. Zaśl. NMP. gr. k. Teodozya Prep.
Jutro: rz. k. św. Tymoteusza gr. k. Tatianny M.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 7 m. 47
Zachód „ „ 4 „ 39

Długość dnia g. 8 m. 52
Przybyło dnia od wczoraj m. 3

Przegląd polityczny.

Lwów 22 stycznia.

Program nowego węgierskiego rządu, wygłoszony uroczyście w sejmie przez p. Banffy'ego, nie sprawił dobrego wrażenia. Nie zapowiedział on najmniejszej zmiany w starym kierunku, nie rzucił żadnej nowej myśli, był po prostu krótkim szkicem zadań, którym chciał podołać gabinet Wekerlego. Oprócz tego, sama architektoniczna budowa programowej mowy była niedość zręczna, gdyż jako fundament działalności rządu, uważa p. Banffy to, co nie może być specyalnem zadaniem jakiegoś jednego gabinetu, lecz jest stałą podstawą dla wszystkich, jakie były i będą na gruncie istniejących stosunków. Słuszną jest rzeczą, aby gabinet, który dopiero stanął u steru, zaznaczył swą wierność tym państwowym zasadom, na mocy których Węgry istnieją; ale to rozumie się samo przez się, bo inaczej nie mógłby ten gabinet powstać, zatem owo zaznaczenie wierności jest tylko formułką, dobrym literackim wstępem do programu, nigdy zaś nie może tworzyć głównej części samego programu, chyba że się przewiduje jakąś rezolucyę, przeciw której zawczasu trzeba pochylić groty rządowej siły. Rozumiemy, gdy każdy nowy gabinet we Francyi przysięga bronić republiki, bo ona tam zawsze niepewna; ale na Węgrzech nie może być głównem zadaniem rządu, głównym celem jego pracy to, co samo stoi mocno, więc konstytucya, ugoda z Austryą i stosunek do Kroacyi. Tymczasem właśnie o tem najdłużej mówił baron Banffy, o wszystkiem zaś innem wspomniał pobieżnie, jako o jakimś dodatku do celu głównego. Ponieważ zaś w krótkiem wspomnieniu o tych wszystkich specyalnie węgierskich i dziś stojących na tapecie sprawach, nie powiedział p. Banffy nic zgoła nowego, przeto słusznie nazwała opozycya program jego brakiem programu. Ustawy wyznaniowe, już sankcyonowane, będą wprowadzone w określonym terminie z całą ścisłością i w tym duchu, w jakim je uchwalono, przyczem o ile się da, będą uszanowane interesa każdego wyznania. A zatem to samo, co przyrzekał p. Wekerle. Dwie ustawy wyznaniowe, jeszcze nie uchwalone przez izbę magnatów — pierwsza „o religijnej wolności“ t. j. o tem, że bezwyznaniowość staje się nową, równouprawnioną religią, i druga „o recepcyi wyznania mojżeszowego“, t. j. o tem, że katolik może przechodzić na mozaizm — będą koniecznie doprowadzone do założonego końca. A zatem znowu to samo, co postanowił p. Wekerle. Dalej reforma administracyjna powinna być przeprowadzona w kierunku nowoczesnych wymagań państwowych, mianowicie zarządy prowincyonalne muszą być upaństwowione, wszelako centralizacya nie powinna być posunięta aż do zupełnego uchylenia autonomii. To samo w sądownictwie i w szkolnictwie. Znowu tedy to samo, co p. Wekerle. Wreszcie przyrzekł p. Banffy utrzymać równowagę budżetową, dokończyć regulacyi waluty, popierać handel, rozwijać przemysł, budować potrzebne koleje, dalej prowadzić regulacyę rzek i usilnie wspierać przyszłą wystawę. A więc jeszcze raz tylko to przyrzeka nowy gabinet, co robił stary. Jak gdyby tego było niedość, p. Banffy osobno oświadczył, że „od zasad poprzedniego gabinetu w niczem nie odstąpi“. Rzecz tedy zupełnie zrozumiała, że większość rządowa oklaskiwała i każdą część programowej mowy i potem jej całość. Ale zrozumiałe jest także to, że opozycya ciągle się śmiała, rzucała ironiczne uwagi i krzyczała: „Sasi!“ „Rumuni!“ ilekroć p. Banffy mówił o potrzebie sprawiedliwości w czynach rządowych.

W ogóle opozycya źle przyjęła nowy gabinet, szydziła z niego, kiedy wchodził do izby, hałasowała podczas przemówienia Banffy'ego, awanturowała się po mowie programowej, — co wszystko świadczy o złym humorze, ale nie o poczuciu własnej siły. Pod tym względem większość rządowa może być zadowolniona, — bo żakowstwo nigdy nie jest niebezpieczne. Dopiero wtedy liberałowie poczęli się chmurzyć, a później i gniewać, gdy wodzowie opozycyi Juljusz Justh i hr. Wojciech Apponyi wystąpili z rzeczywiście zręcznemi mowami, w których wykazywali bezprogramowość nowego rządu i żądali wytłómaczenia, dlaczego ustąpił Wekerle, kiedy aż do najmniejszych szczegółów program jego pozostał. „Głoszą — mówił Justh — że poprzedni gabinet stracił zaufanie Korony i myśmy temu wierzyli, bo naszem zdaniem, rzeczywiście mógł stracić. Szło oczywiście nie o fizyczne osoby poprzednich ministrów, lecz o ich program. Tymczasem widzimy, że program został, a tylko zmieniły się fizyczne osoby. Więc chcemy wiedzieć, gdzie jest przyczyna zmiany gabinetu, czem ten lepszy, albo gorszy od poprzedniego?“

Dalej p. Justh dowodził, że można być wiernym obywatelem i dobrym poddanym króla, a jednak w ugodzie z r. 1867 nie widzieć rzeczy niezmiennej, jak prawa natury. Ta ugoda była dobra w r. 1867, a dziś już jest w niejednem zła, niedostateczna dla wszechstronnego rozwoju Węgier. Dobijać się rewizyi ugody nie znaczy być rewolucyonistą i t. d. W tym sensie p. Justh mówił długo, ale już to było nieciekawe, bo każdy rozsądny polityk zajmuje słuchaczy tylko takiemi myślami, które w danych okolicznościach mogą być wykonane, czego absolutnie nie można powiedzieć o rewizyi ugody z roku 1867. Hr. Apponyi dowodził, że droga, obrana przez rząd Wekerlego, a w niczem niezmieniona przez nowy gabinet, nie doprowadzi bez wstrząśnienia i zawichrzenia do przyjęcia przez naród ustaw wyznaniowych. Bez kompromisów jest to zadanie niemożliwe. Zatem, zdaniem hrabiego, sytuacya wymagała koalicyi stronnictw, a skoro tego nie uczyniono w skutek oporu liberałów, to zmiana gabinetu nie jest zakończeniem przesilenia, tkwiącego w samych stosunkach, lecz jest tylko jego przedłużeniem, rozwałkowaniem na długie miesiące. Zapewne mniemano, że w ten sposób utemperują się ostre sprzeczności, ale zdaniem hr. Apponyi'ego, może to być jeno w takim razie, jeśli p. Banffy, oddawszy hołd Wekerlemu w swej mowie, więcej już nie będzie obowiązany do żadnej względem niego grzeczności i postępować będzie inaczej.

Taki był początek stosunków Banffy'ego z sejmem, — początek nie świetny.

Rząd rosyjski zastanawia się podobno nad projektem zniesienia cenzury, której podlegają książki i dzienniki zagraniczne. Taki projekt już raz opracowano pod koniec panowania Aleksandra II i miano go wykonać, ale niespodziewana śmierć tego cara dała tej sprawie, jak i wielu innym zupełnie odmienny kierunek: Aleksander III obostrzył cenzuralne przepisy. Teraz więc wrócił dawny projekt, który oddano do zbadania osobnej komisyi w ministeryum spraw wewnętrznych i — jak *Nowoje Wremia* donosi — sprawa będzie rychło rozstrzygnięta. Co do czasopism, to ma być zrobiono tak, że dyplomatyczne misye rosyjskie będą układały spis tych wydawnictw, które mogą mieć debit do Rosyi i już można je będzie prenumerować zwykłym sposobem, a nie przez centralną cenzurę w Petersburgu, która dotychczas przeglądała czasopisma mające debit, zamazywała czernidłem drukarskiem artykuły niecenzuralnej treści i potem dopiero rozsyłała te pisma prenumeratorom. Powieści i dzieła naukowe, oprócz socyalnych i politycznych, otrzymają zupełnie wolny wstęp do Rosyi. Tak donosi *Nowoje Wremia*.

Otóż trzeba dobrze określić, o co tu idzie. Wolny wstęp otrzymają książki francuskie, angielskie, niemieckie i t. d. — słowem, dostępne ludziom, posiadającym obce języki, a więc małej garstce, która bywa za granicą i czyta wszystko. Książki rosyjskie, drukowane za granicą, i książki polskie, wychodzące u nas i w Poznańskiem, nie skorzystają z tego dobrodziejstwa, które — jak z tego widzimy — choć się na pierwszy rzut oka świeci, jednak złotem nie jest. Zagraniczna produkcya książkowa i gazeciarska, jako robiąca konkurencyę ojczystej, a przeważnie zanieczyszczona śmieciami, mogłaby podlegać wysokiemu cłu, albo nawet zakazowi dowozu, naturalnie z wyjątkiem dla dzieł rzeczywistej literackiej czy naukowej wartości. W tem nie byłoby dla nikogo krzywdy. Natomiast zniesienie cenzury na książki w ojczystym języku byłoby ogromnem ustępstwem dla swobodnej wymiany myśli, ale właśnie o tem nie słychać.

Z chińskiego teatru wojny donoszą, że pod Niu-Szwangiem, na węzłe dróg prowadzących do Pekinu, zgromadziły się wszystkie siły chińskie, jakie tylko można było ściągnąć. Od tego punktu o kilometrów 60 jest miasto Hai-Czeng gdzie się skoncentrowały wszystkie korpusy japońskie. Między temi armiami wkrótce zawiąże się bój rozstrzygający, który zapewne prędzej skończy wojnę, niż leniwie prowadzone rokowania pokojowe. Forpocztowe utarczki już się zaczęły. Parę dni temu 14 tysięcy Chińczyków zaatakowało skrzydło jenerała Nadsu — wywiązała się bitwa nader uporczywa, trzy razy rzucano się na bagnety, w końcu Chińczycy uciekli, a Nadsu ich ścigał aż pod główny obóz wojsk bogdychańskich. Obie tedy strony postąpiły podług swego zwyczaju, praktykowanego stale od początku tej wojny: Japończycy bili, a Chińczycy przyjmowali bicie i potem zmykali.

Polityczne sfery naszego grodu dotknięte zostały nieprzyjemnie dwoma artykułami *Gazety Narodowej*, o których zrazu nie chcieliśmy mówić, bo sądziliśmy, że miną niepostrzeżenie, o których jednak teraz mówić już wypada, a nadewszystko przeciw którym zaprotestować uroczyście potrzeba, bo jest obawa, że wrogowie nasi, czyhający na każde nasze głupstwo, zechcą z tych artykułów wyciągnąć korzyść dla siebie.

W pierwszym z nich donosiła *Gazeta Narodowa* światu, że pewien dygnitarz, przyjmując na audyencyi jakiegoś studenta wydalonego ze szkół warszawskich za demonstracyę na cześć Kilińskiego, miał mu powiedzieć, że takiej młodzieży, która demonstracye urządza, my tu (w Galicyi) nie potrzebujemy.

Ten fakt drobny, nie mający zgoła żadnego znaczenia — bo czyż *Gazeta Narodowa* jest w stanie sobie wyobrazić, że znajduje się na kuli ziemskiej jakikolwiek dygnitarz, który do młodego człowieka powie, że pragnie, aby młodzież w szkołach, zamiast się uczyć, robiła demonstracye? — więc fakt ten drobny i bez znaczenia, posłużył *Gazecie Narodowej* do refleksyi na temat, iż taka młodzież, która demonstracye urządza, to kwiat i czoło narodu, to najszlachetniejsza jego cząstka, że gdyby nie owa młodzież za kordonem, która urządza od czasu do czasu demonstracye patryotyczne, to Galicya pod wpływem stańczykowstwa straciłaby swój charakter polski, etc.

Były to zdania przedewszystkiem bardzo niepedagogiczne, bo zachęcały młodzież do awantur politycznych, a odrywały od książki i nauki, wpajały w nią mniemanie, że czczemi demonstracyami ratuje Polskę, dawały jej do myślenia, że jest ważniejszą częścią narodu niż ludzie dojrzali i poważni, podsycały w niej zarozumiałość, do której młodzi ludzie są zawsze tak pochopni.

Były to następnie zdania wysoce niepolityczne, bo służyć mogły wszystkim zwolennikom systemu Hurki za doskonały pretekst do utrwalania tego systemu w ziemiach polskich pod berłem rosyjskiem. „Oto patrzcie — zawołać może teraz cała zgraja czynowników — *Gazeta Narodowa* chwali młodzież za demonstracye i powiada, że to kwiat i czoło narodu. Jakże więc w obec takich rad dawanych z Galicyi można cośkolwiek ulżyć w systemie ucisku?“

Wreszcze były to zdania..... bardzo niemądre. Boć przecie nie cofając się nawet daleko, ale biorąc przykłady z najświeższych czasów, można byłoby przytoczyć nie jeden, ale setki artykułów tej samej *Gazety Narodowej*, w których mówiła o tem jak świetnie Wystawa lwowska zadokumentowała żywotność naszą narodową. A przecież Wystawy owej nie urządzała młodzież szkół warszawskich, tylko ta właśnie Galicya, która, zdaniem tej samej *Gazety Narodowej*, gdyby nie owa warszawska młodzież straciłaby rychło swój polski charakter.

Ale palnąwszy niedorzeczność, należało milczeć. A nużby się utarła. Niedawno przecież jeszcze drukowaliśmy aforyzm któregoś z mędrców, zachęcający nie poprawiać się, gdy się popełni niedorzeczność, bo — dodaje on — zawsze głupstwo chodzi w parze. *Gazeta Narodowa* nie usłuchała tej dobrej rady i po paru dniach wystąpiła z artykułem, w którym wraca do tej samej sprawy i stawia taką tezę: równą miarą — powiada — trzeba mierzyć: i młodzież, która urządza demonstracye uliczne i ludzi dojrzałych, którzy inne urządzają demonstracye. Oto — ciągnie dalej — Wystawa lwowska była wielką „jawno-patryotyczną“ demonstracyą, wywołaną tem samem uczuciem, które popchnęło młodzież warszawską do robienia demonstracyi na cześć Kilińskiego. Dlaczegoż młodzież ową karano, gdy tych, którzy urządzili Wystawę, nagrodzono zaszczytami i orderami?

Zatem akt wielkiej patryotycznej pracy, który kraj nasz i jego zasoby cywilizacyjne okazał w jak najlepszem świetle przed całą monarchią, a podniósł ekonomiczne znaczenie naszej prowincyi i jej polityczny wpływ w Wiedniu, jest — zdaniem *Gazety Narodowej* — rzeczą zupełnie równą ulicznej demonstracyi garstki studentów?! A dlaczego? Dlatego, że z jednego uczucia płyną. Naprzód to nieprawda, bo z jednego nie płyną, a następnie gdyby i było prawdą, toć przecie jedno jest rozumne i pożyteczne, drugie zaś niedorzeczne i szkodliwe, więc jakże mogą być do siebie przyrównywane?!

Nie dlatego jednak piszemy ten artykuł, żeby na temat psychologiczny prowadzić dyskusyę z *Gazetą Narodową*, lecz dlatego, żeby solennie zaprotestować przeciw twierdzeniu tego pisma, iż Wystawa lwowska była jakąkolwiek demonstracyą. Podsuwały nam wprawdzie tę intencyę demonstracyjną niektóre organa rosyjskie jak *Nowoje Wremia*, *Moskiewskie Wiedomosti* i *Warszawski Dniewnik*; utrzymywały, że cała wystawa wraz z panoramą mają na celu uroczysty obchód stuletniej rocznicy Kościuszkowskiego powstania; ale były to zręcznie obmyślane insynuacye naszych wrogów, mające na celu wywołać znany zakaz odwiedzania wystawy. Dlaczego *Gazeta Narodowa* staje dziś na tem samem stanowisku, co owe nieprzyjaźne nam dzienniki; dlaczego poważa się obudzić znowu do nas nieufność; dlaczego podsuwa Wiedniowi myśl, że my oszukaliśmy Najj. Pana, gdyśmy Go prosili o przyjęcie protektoratu nad Wystawą; dlaczego nie mając absolutnie w żadnym akcie czy dokumencie Komitetu wystawowego dowodów tego, że chciał za pomocą tej wystawy urządzić jakąś demonstracyę, podsuwa mu taką myśl płytką?

— Na te wszystkie pytania nie możemy dać odpowiedzi. Możemy tylko solennie przeciwko temu zaprotestować i wyrazić ubolewanie, że dziennik ten otworzył swoje łamy dla wspomnianych dwóch artykułów, które nacechowane tandetnym szowinizmem są tak ułożone jak gdyby były pisane przez zręcznych wrogów naszych.

Ruch ludowy w Galicyi.

V.

W ciekawym, nie powiemy serdecznym, tem mniej szczerym, lecz dość jednak ścisłym aliansie z *Przyjacielem ludu* znajdują się organa ks. Stojałowskiego: *Dzwon*, *Wieniec* i *Pszczółka*; z wielu względów przypomina on mimowoli — *si licet parva componere magnis* — przymierze rosyjsko-francuskie. Dawniej, dawniej walczyli ze sobą; później zaczęli się tolerować, aż wreszcie podali sobie bratnie dłonie; — *Wieniec* i *Pszczółka*, zdesperowawszy o prowadzeniu wojny na własną rękę, przeszły z bronią i bagażami do obozu *Przyjaciela* i poddały się pod jego komendę; za to *Przyjaciel* otoczył je i ich redaktora wspaniałomyślną swą protekcyą. Otoczył pewną protekcyą przeciw biskupom, przeciw księżom; ale czując swą wyższość, a może też nie mogąc pozbyć się zakorzenionej niechęci dla księżej sutanny, traktuje sprzymierzeńców z metajonem lekceważeniem; mimo wszelkich czynionych sobie grzeczności, awansów, uważa ich zawsze za „ludowców“ drugiej klasy. Naprożno ks. Stojałowski agituje, jak może, za zwołanym przez Wysłouchów i Stapińskich do Lwowa wiecem chłopskim; naprożno rozrzuca odezwy: „Przyjeżdżajcie!“; redakcya *Przyjaciela* całą tę agitacyę ignoruje, nie przyznaje gorliwemu agitatorowi, już nie inicyatywy, ale najmniejszej zasługi w zwołaniu wiecu. W sprawozdaniu z wiecu, jakby chodziło o podrzędną jakąś figurę, nie o głównodowodzącego wojsk sprzymierzonych, pisze nawiasowo:

„Ks. Stojałowski jako gość również na wiec przez nas zwołany przybył“.

„Jakto: jako gość! — protestuje do żywego dotknięty redaktor *Wieńca* i t. d. — Ksiądz Stojałowski przybył na wiec przez siebie też zwołany, nie jako gość, ale jako uczestnik i spółdziałający w komitecie urządzającym“.

Przyjaciel nie pozostał dłużnym w odpowiedzi:

Jako żywo! Ks. Stojałowski „był tylko uczestnikiem wiecu, jak wszyscy inni. Ani w rozpisywaniu listów do referentów, ani w żadnej czynności, odnoszącej się do urządzenia wiecu, nie brał udziału, ani do kosztów się nie przyczynił, ani jednem słowem nie zapraszaliśmy go do komitetu, a zatem i w nim nie był“.

Ks. Stojałowski, czując dobrze, że przymierze „chrześcijańsko-socyalistycznego“ reformatora z wyraźnie antichrześcijańskim *Przyjacielem ludu* rzucić musi na pierwszego dziwne światło, usiłował obmyć, ochrzcić sojusznika: W ostatnich dwu latach — wmawia w siebie i w innych — redakcya *Przyjaciela ludu* doświad-

7)

W PŁYTKIM PRĄDZIE

POWIEŚĆ

przez *Nagodę*.

(Ciąg dalszy).

Podano herbatę. Helena i Jańcia, będąca tu już jak domową, gospodarowały wspólnie, dzieląc swą uwagę pomiędzy gości, a szary koniec stołu, gdzie trzy małe, płowe główki wyciągały się z ciekawością do każdego dania. Rozmowa stała się ogólniejszą. Kazimierzowie opowiadali o niezmiernie ciekawym podróżniczym odczycie prof. Holmana, na którym byli przed paru dniami.

— Mój Boże, szczęśliwi ludzie! jeszcze mają czas chodzić na takie odczyty — pomyślała z zazdrością Tola. Ona rzeczywiście, podzielona między obowiązki gospodyni domu i panny bywającej w świecie, nie miała czasu na takie osobiste przyjemności umysłowe; wprawdzie szła niekiedy na jaką sztukę lub na odczyt, na którym mieli być wszyscy, a zatem i ona być musiała, ale w wyborze takich rozrywek rządziła nią zawsze tylko opinia świata, a nie jej własne upodobanie.

Edzio mniej uczuwał żalu, że ten odczyt, przenoszący słuchaczy żywcem w podzwrotnikowe strefy afrykańskie, odbył się bez niego; jego miękka, łatwo naginająca się natura wciągała wszystkiemi porami wpływy swego otoczenia. Rzucony od dwóch lat w wir bawiącego się świata, był też na obecną chwilę skończonym światowcem i rezultat ostatnich wyścigów lub najnowsza buduarowa ploteczka obchodziły go znacznie więcej, niż wszystkie naukowe podróże profesorów całego świata. Zresztą nieźle wychodził na tej umiejętności zastosowywania się do ludzi i zmiennych kolei losu, bo wszyscy lubili go i on także lubił swoje życie dzisiejsze, choć nie było ono takiem, jakiem je sobie kiedyś, dawniej układał.

Jako syn właściciela ziemskiego, chowany był wyłącznie na gospodarza, skończył szkołę agronomiczną i odbył parę lat praktyki przy wzorowem większem gospodarstwie; właśnie w chwili, kiedy tę praktykę porzucił z jak najchlubniejszemi świadectwami, końce, których pan Czarnoliński od wielu lat na swojem gospodarstwie związać nie mógł, rozwiązały się ostatecznie i majątek rozpłynął się... gdzie?... nikt nie potrafiłby powiedzieć, a najmniej podobno sam właściciel.

Z kilkunastoma tysiącami, zabezpieczonymi jako posag Toli, schroniono się na bruk miejski; na szczęście pozostało im jeszcze nazwisko Czarnolińskich, spowinowacone z najpierwszemi rodzinami. Ten kapitał, mało zazwyczaj procentujący, tym razem dał się spożytkować: ojca wpływowi przyjaciele zrobili natychmiast jakimś prezesem i jakimś zastępcą dyrektora, dając mu w ten sposób zajęcie nieutrudzające, a dość zyskowne; Edzia także zapakowano do banku, licząc na to, że młody i przystojny chłopiec, byle miał na świeże rękawiczki i krawatki, zrobi karyerę w świecie.

Edzio sam w zupełności podzielał to przekonanie, a zresztą nie widział innej drogi przed sobą. Swoje gospodarskie wykształcenie byłby musiał spożytkować chyba na korzyść jakiegoś obcego chlebodawcy, a to w jego przekonaniu nie odpowiadało godności Czarnolińskich. Z początku trochę go męczyło ślęczenie przy biurku, później się z tem oswoił; przytem miasto bawiło go, a przyszłością nie kłopotał się wcale. Tyle panien bogatych na świecie, a on tak się czuł powołanym do uszczęśliwienia każdej, tylko nie widział powodu tak się z tem spieszyć.

Po kolacyi wzięto się do przeglądania albumów, leżących na stole; proponowana partya szachów poszła w zapomnienie, o co panie wcale się nie gniewały.

— O, nowa fotografia pani — wykrzyknął Edzio. — Ale czemuż tu minka taka pobożna, jakby pani pojechała do Mazura prosto z wielkanocnych rekolekcyi? Muszę i ja się kiedyś tak fotografować, może będę także podobny do świętego obrazka.

— Proszę sobie nie żartować z rekolekcyi i świętych obrazków, tyle jest zabawniejszych tematów.

— Prawda, zgrzeszyłem — rzekł Edzio skruszony — ale za to podam pani sposób ukarania mnie... po chrześcijańsku. Zna pani przysłowie: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego... fotografią“?

Na zarumienioną twarz Jańci padło z oczu Edzia jedno z tych przedłużonych, zabójczych spojrzeń, któremi zyskiwał sobie względy pań i panien. Nie było prawie przykładu, żeby „złoty Edzio“ nie zrobił choćby na krótko konkiety, jeśli zapragnął ją zrobić.

— No cóż, panno Janino, postąpi pani ze mną po chrześcijańsku?

— Zobaczę... jeśli będę mogła, jeśli mama...

— Ej mama! — to zastrzeżenie nie przypadło Edziowi do smaku, nie widział wcale potrzeby mięszania mamy w takie sprawy.

Gdy dziesiąta wybiła, Tola podniosła się z kanapy.

— Dziękujemy pani za dzisiejszy wieczór, — rzekł Kazimierz, — w dowód wdzięczności gotówem nawet przysłać Helenkę na tę wentę, bo chociaż nie pochwalam samego przedsiębiorstwa, ale firma pani bardzo je ratuje w mojem wyobrażeniu.

— Nie uwierzę, dopóki pana samego nie zobaczę na wencie, — odparła Tola z czarującym uśmiechem.

— Śliczna dziewczyna! nie grzech to, żeby taka nie miała ani jednego konkurenta, jabym tę dzisiejszą młodzież w armatę nabił, — wykrzyknął Kazimierz, gdy drzwi zamknęły się za jego gośćmi.

— Zkądże wiesz, że ani jednego? może miała ich kilku, tylko nie takich, którychby przyjąć mogła, — ujęła się za przyjaciółką Helena przez czystą kobiecą solidarność.

— Właśnie też! niby to o takich rzeczach ludzie nie wiedzą; a zresztą zanadto mam dobre wyobrażenie o Toli, ażebym miał wierzyć, że ją bawi takie bez końca wytańcowywanie po balach i że nie skorzystałaby ze sposobności zaczęcia już raz życia na seryo. Cóż to jest taka egzystencya panny w jej położeniu? coś wyśrubowanego, nienaturalnego, pustego aż do ostateczności, nawet powiedziałbym: demoralizującego.

— A, to już przesada! — oburzyła się Helena.

— Bynajmniej; powiedz-że sama, czy taki nieustanny flirt salonowy nie suszy serca, a kombinowanie przez całe życie coraz to nowych efektów toaletowych nie przytępia władzy poważniejszego myślenia.

— W każdym razie ona temu nie winna.

— Ja też jej nie winię, tylko mi jej żal.

— Żal ci, że nie ma dotąd w jej życiu takiego steru i podpory, jaką mógłby się stać lada jaki posiadacz wąsów i brody, o ty wzorze skromności męzkiej! — rozśmiała się Helena całując męża.

— Edziu, dlaczego prosiłeś Jańcię o danie ci fotografii? — zagadnęła Tola, ujmując brata pod rękę, skoro wyszli na ulicę.

— Jakto, dlaczego? bo bardzo ładna fotografia, — odparł Edzio ze spokojem trochę wymuszonym, bo kategoryczne pytanie siostry zmięszało go.

— To nie racya — wiesz dobrze, że Jańcia nie należy do panien, któreby na prawo i na lewo rozdawały swoje fotografie; nie powinieneś swego z nią stosunku opierać na wyjątkowych podstawach, chyba... chyba... jeśli masz zamiar starania się o nią!

— Ależ... skądże znowu, nawet myśleć o tem nie mogę; ładnieby było, na sześćset reńskich. Tylko nie rozumiem, do czego cała ta inkwizycya; panna Jańcia i ja... sympatyzujemy ze sobą — oto wszystko.

— Oto wszystko... na początek — odparła Tola z ogniem, — nie radzę ci wdawać się w taką grę, zwłaszcza też z młodą i nieznającą życia dziewczynką, jaką jest Jańcia, która tak łatwo tę twoją sympatyę za prawdziwą miłość wziąć może.

— Egzaltujesz się, — przerwał z niezadowolnieniem Edzio.

V.

Piękne panie bawiącego się świata rozpoczynały wentą szereg dobrych uczynków, którymi miały zapełnić sezon zimowy ku pożytkowi swych protegowanych biednych, swych krawców, swych wielbicieli, swych obowiązków rodzinnych... no, to może i nie — ale pracując dla dobra ogółu, trudno mieć na względzie ciasne, rodzinne kółko.

Pani Wilma i Tola stojąc za stołem założonym stosem zwierzyny i innych produktów gospodarskich, wabiły uśmiechem klientów, starając się lekką, dowcipną rozmową dodać powabu i polotu nazbyt realistycznemu zadaniu sprzedawania zajęcy. Obie ubrane były w sukienne popielate kostiumy; pani Wilma zadecydowała, że należy koniecznie wybrać ten, a nie inny kolor ze względu na popielate i szare pióra kuropatw, pantarek i innych stworzeń wchodzących w skład ich handlowego przedsiębiorstwa. Ta harmonia barw była bardzo szykowna i w najlepszym guście; przekonanie to wprawiało obie piękne kupcowe w doskonały humor, a wesołość ich zwabiała w ten róg sali coraz to liczniejsze kółko młodzieży.

W tej chwili właśnie stanął obok Toli cichy jak cień, a zarumieniony jak zorza, Milczek Jencki, właściciel Jeniec z przyległościami, zwany Milczkiem z powodu, że nazywał się Emil, a całem życiem swojem zdawał się stwierdzać przekonanie, że milczenie jest rzeczą złotą.

Stanął, ukłonił się i czekał cierpliwie, żeby się do niego zwrócono, ale inni natarczywi klienci tak otaczali Tolę, że nie prędko zauważyła jego obecność.

— I pan tutaj? — rzekła wreszcie z uśmiechem o jeden ton cieplejszym, podając mu rękę — czy w Jeńcach zabrakło panu kuropatw, że się pan zgłasza do naszego bazaru?

— Jabym bardzo chętnie... zakupił choćby wszystkie, ale pod warunkiem, żeby je pani napowrót przyjęła w komis — wyjąknął nieśmiały młodzieniec, któremu parę kropli potu wystąpiło na czoło przy wygłaszaniu tak długiego frazesu.

Cdn.

czyła, że do naszego ludu nie trafi z antichrześcijańską propagandą, a więc pod tym względem stanowczo zmieniła kierunek i przyjęła zasadę, że „religia nie należy do polityki“. Zaprzestała tedy atakowania religii, a nawet umieszczać zaczęła pozdrowienie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, którego dawniej unikała. W ten sposób punkt sporny między *Przyjacielem ludu* a pismami naszemi został poniekąd usunięty“.

I znowu zdrajca, nie *Przyjaciel*, rozwala za jednym zamachem z takim mozołem wybudowany gmach.

„Myli się ks. Stojałowski, chwaląc nas, żeśmy się zmienili. Kto zmienia swe zasady i nie ma ustalonych przekonań, ten, zdaniem naszem, nie ma prawa wydawania gazetek. My prawdą stoimy od początku, prawda dopomogła nam dziś do znacznego zwycięstwa i z tego naszego oparcia na prawdzie czerpiemy otuchę, że przy pomocy naszych czytelników, jedynych przyjaciół i pomocników, jakich posiadamy, dojdziemy szczęśliwie do celu. Dla nikogo i nigdy zasad naszego postępowania, które rozumiemy o tyle, że się ich do *Nowego Wieńca* uczyć nie pójdziemy, nie zmienimy.“

Gorzka pigułka; połknąć ją, czy nie połknąć? Na bez porównania grzeczniejsze przedłożenia, czynione sobie niejednokrotnie z różnych innych stron, odpowiadały regularnie *Wieniec*, *Pszczółka*, *Dzwon* potokiem niegrzeczności. Teraz jednem słowem odpowiedzieć nie śmieją. A nuż jedyny możliwy sprzymierzeniec, którego cały program za swój własny uznały, powiedziałby bez ogródek: „Idź precz! Straciłeś dawny wpływ i raczej zawadzasz niż pomagasz.“ Niech tylko konstelacya polityczna się nieco zmieni, a Rosya wystąpić gotowa z takim samym komplementom dla płaszczącej się przed sobą Francyi; skądże żądać od p. Wysłoucha, żeby był delikatniejszym dla ks. Stojałowskiego? Nie chciał redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* poddać się zdaniu i rozkazom żadnego z dotychczasowych swych przełożonych; nemezys dziejowa wepchnęła go pod nielekkie jarzmo pp. Wysłouchów. Mniemał, że potrafi ukształcić sobie z chłopów powolne narzędzie i z góry groził niem wszystkim niezgadzającym się z jego planami i drogami; ta sama nemezys przekształciła wrzekome owo narzędzie w groźną broń, która przeciw niemu samemu na pierwszym planie się zwróciła.

MAŁY FELJETON.

Kronika naukowa.

Gdy zima pola nasze śniegiem przyprószy, a rzeki i jeziora lodem ścina, czyż trzeba szukać przedmiotu innego, skoro śnieg i lód same się oczom narzucają? Gdyby trzeba wymienić ciało, które do badań przyrody najsilniejszą dało podnietę, a nastręczając zagadki, najprostszą drogą odpowiedź nasuwa, to niewątpliwie należałoby przytoczyć poprostu wodę. Już to samo, że znamy ją w trojakim stanie skupienia, jako ciało stałe, ciekłe i lotne i że tak łatwo z jednego do drugiego przeprowadzić się daje, odsłania nam uderzający objaw przyrody, a Helmholtz wyraził niegdyś nadzieję, że lód, posiadając określoną i łatwą do rozpoznania budowę, dostarczyć nam może wskazówek do rozwiązania wielu trudnych zagadnień, tyczących sie zasadniczych własności materyi.

Ze zjawisk, jakie uwadze naszej lód nastręcza, najosobliwszym jest zapewne ruch lodników, posuwanie się ich wzdłuż dolin, które wypełniają. Mieszkańcy gór ruch ten znali już dawno, przedmioty bowiem, pozostawione w górnych częściach lodnika, znajdowano następnie u jego spodu. Ścisłym wszakże pomiarom początek dali dopiero w roku 1840 Agassiz i Wild, a za nimi poszło wielu badaczy.

Okazało się, że bieg lodu odbywa się w sposób podobny, jak prąd wody w rzece: ruch szybszy jest pośrodku, aniżeli po brzegach, szybszy na powierzchni, aniżeli na dnie. Prędkość ruchu wzmaga się w wąwozach, słabnie w rozszerzeniach dolin i na dobę wynosi 0·025 do 1·25 metra. Prędkość biegu wielkich rzek przechodzi w ogólności 1 metr na sekundę, jest przeto co najmniej 70.000 razy znaczniejszą. Przy posuwaniu się swojem lód zachowuje się, jak ciało plastyczne, jak smoła lub wosk, dla wyjaśnienia przeto osobliwego tego ruchu byłoby rzeczą najprostszą przyjąć, że i lód jest ciałem plastycznem. Pospolite już wszakże spostrzeżenia opierają się takiemu przypuszczeniu, bryły bowiem lodowe przedstawiają się jako ciała zupełnie sztywne i nie okazują zgoła plastyczności; należało przeto szukać innego tłómaczenia.

Przyjęto więc powszechnie teoryę, która polega na zależności, zachodzącej pomiędzy temperaturą topienia się lodu a ciśnieniem, pod jakiem pozostaje. Wiadomo, że woda, krzepnąc w lód, powiększa swą objętość; nawzajem też lód, gdy się topi i staje wodą, objętość swą zmniejsza. Wywnioskowano zatem słusznie, że ciśnienie ułatwiać musi topienie się lodu, czyli zniża jego punkt topliwości. W samej rzeczy lód, który w zwykłych warunkach czyli pod normalnem ciśnieniem atmosfery, topi się w temperaturze 0°, pod wzmożonem ciśnieniem kilkunastu atmosfer przechodzi w wodę w temperaturze —1° C. Lodniki mają w ogólności temperaturę bliską zera; w miejscach zatem, gdzie ciśnienie jest znaczniejsze, lód topić się musi, a powstająca stąd woda spływa i krzepnie znów niżej w lód, który przez przymarzanie spaja się z masą istniejącą, co ostatecznie sprowadza rezultat taki sam, jakby w samej rzeczy lód ku dołowi płynął.

Tłómaczenie to wszakże nie jest zupełnie zadawalniającem. Topienie bowiem wymaga nakładu ciepła, skoro więc lód pod ciśnieniem zaczyna się topić, pochłania ciepło otaczającej masy, temperatura zniża się i cały proces się przerywa, zanim rozwinąć się zdołał. Nadto, przenoszenie wody wzdłuż lodnika napotyka również przeszkody, przekonano się bowiem, że woda zatrzymuje się w szczelinach włoskowatych na wierzchniej powłoce lodu.

Dlatego też w ostatnich czasach wystąpiły znów poglądy, że ruch lodników przypisać należy nie rzekomej, o jakiej dotąd była mowa, ale istotnej plastyczności lodu; aby wszakże tłómaczenie to mogło być uzasadnionem, należało plastyczność lodu okazać drogą doświadczalną, w pracowni. Lepiej jeszcze postąpili badacze angielscy, pp. Main, Mc-Connel i Kidd, pracownię swą bowiem przenieśli do samego siedliska lodników i obrali ją w wiosce St. Moritz, w szwajcarskim kantonie Graubünten, w słynnej dolinie Engadiny, gdzie w ciągu miesięcy zimowych na ustawiczny prawie mróz liczyć można. Aby rozstrzygnąć kwestyę plastyczności lodu, a zarazem oznaczyć dokładnie stopień jej w różnych warunkach temperatury i ciśnienia, poddawali obciążeniu pręty lodowe otrzymane w różny sposób, bądź przez sztuczne zamrożenie, bądź też wycięte z jezior zamarzłych lub z samych lodników, przyczem przyrządy dokładne pozwalały im najdrobniejsze już mierzyć wydłużenie.

Z doświadczeń tych, które kilka zim zajęły, między różnymi prętami lodowymi okazała się znaczna niezgodność, gdy bowiem jedne opierały się wszelkiemu wydłużeniu, inne ustępowały dosyć znacznie pod działaniem obciążenia. Przyczyny tej niezgodności szukać trzeba było oczywiście w naturze samego lodu, a bliższa uwaga pozwoliła rychło ją wykryć.

Lód, jak wiadomo, jest ciałem krystalicznem, ale każda bryła lodowa jest bądź pojedynczym, jednorodnym kryształem, bądź stanowi zbiorowisko brył, z których każda jest oddzielnym kryształem. Pręty lodowe podzielić można tedy na dwie kategorye: na jednorodne i różnorodne, a doświadczenie przekonało, że tylko lód różnorodny jest plastyczny, lód zaś jednorodny sztywny. Wypada więc ztąd dalej, że kryształy lodowe są same przez się sztywne, a pozorna plastyczność lodu zależy jedynie od przesuwania się oddzielnych kryształów.

Lodniki utworzone są z lodu wyraźnie niejednorodnego; składają się z bryłek oddzielnych, zwanych ziarnami lodnikowemi, różnej wielkości, od wymiarów grochu do melona. Powierzchnia lodnika ulega działaniu promieni słońca, które ujawniają wprost jej budowę ziarnistą. Lód, wydobyty z zagłębień, jest jasny i przezroczysty, a ziarn jego okiem nieuzbrojonem rozróżniać nie można; gdy wszakże odłamek takiego lodu, jednolitego napozór, wystawimy przez kilka minut na działanie promieni słonecznych, powierzchnie, oddzielające ziarna jedne od drugich, ukazują się wyraźnie wskróś tworzących się cienkich warstw wody. Ponieważ nadto szybkość ruchu lodników nie przechodzi stosunku, jaki z doświadczeń swych przytoczeni wyżej badacze otrzymali, sądzą więc, że wykazana przez nich plastyczność lodu wystarcza do wytłómaczenia osobliwego zjawiska ruchu lodników i że nie trzeba odwoływać się do innych właściwości fizycznych lodu.

Zgodzić się zresztą można, że nazwa plastyczności nie odpowiada dobrze temu zachowaniu się lodu, nie nastręcza się wszakże termin odpowiedniejszy. Plastyczność lodu lub smoły wydaje się objawem różnym zgoła, odrębnym, być może jednak, że zachodzą tu działania podobne, że i te ciała składają się z kryształów niesłychanie drobnych, ultramikroskopijnych, a różnica między zachowaniem się lodu i smoły jest tylko ilościowa, nie zaś jakościowa. Dawniej już zresztą poznano, że pod olbrzymiemi ciśnieniami najwytrzymalsze nawet ciała zbliżają się do stanu ciekłego i zyskują znaczny stopień plastyczności; potwierdza się tu zatem reguła dawnych przyrodników, że natura skoków nagłych unika.

Ktoby jednak chciał poznać lód w istotnej jego ojczyźnie, nie na szczyty gór udawać się winien, ale do Grenlandyi, jak to uczynił śmiały Norwegczyk, który ją przebył w poprzek, od wybrzeża wschodniego do zachodniego. Pusta i zagadkowa kraina odsłoniła tajemnicę, jaką dotąd ukrywała, a tajemnicę tę stanowi li tylko lód i nic więcej. Nordenskjöld, najwybitniejszy z badaczy okolic podbiegunowych, który więcej niż ktokolwiek inny widział pól lodowych, sądził, że warunki fizyczne nie dozwalają, by poniżej 80° szerokości wnętrze obszernego lądu mogło być całkowicie lodem zajęte; wyprawa wszakże Nansena nauczyła, że pogląd ten jest błędnym. Grenlandya osłonięta jest zupełnie powłoką lodową, a góry i doliny kryją się pod nią tak dalece, że ukształtowania kraju zgoła poznać nie można. Począwszy od wybrzeża wschodniego, lodowy ten pancerz wznosi się szybko w górę i dosięga wysokości 9 do 10ciu tysięcy stóp; w pośrodku jest płaski i poziomy, a ku wybrzeżu znów się obniża.

Lód wypełnia doliny i pokrywa góry, a grubość pokładu reguluje się ilością spadłego śniegu. Pole lodowe Grenlandyi przedstawia uderzające podobieństwo do niezakłóconej powierzchni zmarłego oceanu, a wygładzenie tej powierzchni spowodowane jest głównie działaniem wiatru. Śnieg narastał corocznie, wiatr zmiatał go z gór i gromadził w dolinach, które wciąż się zapełniały, a góry nikły i pole lodowe rozwijało się bezustannie. Obecnie wiatr niweluje tylko i wygładza powierzchnię tego rozległego pola, jakby poziom jeziora.

W pełni nawet lata we wnętrzu kraju lód nie topnieje istotnie, zdawałoby się zatem, że ilość śniegu wzrasta tam ustawicznie; obserwacye wszakże i pomiary, prowadzone od lat kilku na wybrzeżu zachodniem, wykazały, że masa lodu zachowuje w ogólności jednostajną wysokość i niewielkim tylko ulega wahaniom. Należy zatem przyjąć, że we wnętrzu kraju ilość śniegu również nie wzrasta, zachodzi więc pytanie, w jaki się sposób stateczność ta utrzymuje, skoro topienie lodu, jak wspomnieliśmy, nie ma znaczenia, a parowanie powierzchni śnieżnej dla niskiej temperatury również musi być bardzo słabe?

Znaczny niewątpliwie wpływ wywiera ciśnienie, powstające w tych olbrzymich masach śniegu i lodu, które wytłacza lód wśród stoków górskich aż do morza, do którego dostaje się w postaci potoków lodowych, czyli lodników i tworzy pływające góry lodowe. Większe wszakże może ilości lodu dostają się do morza w postaci wody, a dzieje się to dla znanej nam już własności lodu, że znaczne ciśnienie topienie jego ułatwia, do czego przybywa jeszcze prawdopodobnie ciepło, spowodowane przez tarcie brył, pozostających w ustawicznym ruchu. Tam zwłaszcza, gdzie lód jest w zetknięciu z gruntem i gdzie przeto tarcie jest najsilniejsze, topienie zachodzić musi dosyć żywo, o czem świadczą zresztą prądy wody, przedostające się nawet podczas surowych zim przez lody i wylewające się poniżej lodników.

Zdumiewająca ta powłoka lodowa Grenlandyi daje obraz stosunków, jakie panować mogły w Europie i Ameryce północnej podczas okresu lodowego, gdy lądy te podobnąż powłoką okryte były; dlatego badanie Grenlandyi wyświetlić zapewne zdoła wiele nierozstrzygniętych dotąd o tym okresie geologicznym zagadek. Nansen wszakże nie znalazł jeszcze naśladowcy, któryby po nim zapuścił się w tę pustynię lodową, a on sam znajduje się teraz w podróży do bieguna północnego, zkąd dawno już wieści żadnej od niego nie było.

Z lodem i wodą tuż styka się powietrze, a o powietrzu właśnie podać nam tu należy wiadomość niespodzianą zupełnie.

Od czasów Scheelego, Priestleya i Lavoisiera, od stu lat z górą, zajmowali się chemicy gorliwie badaniem składu powietrza i uważają za rzecz niewątpliwą, że oprócz pary wodnej, oraz drobnych ilości kwasu węglanego i pewnych innych zanieczyszczeń, składa się powietrze atmosferyczne jedynie w piątej części z tlenu, a w czterech piątych z azotu. Obecnie wykrył w niem lord Reyleigh, znany fizyk angielski, inny jeszcze, nowy gaz, o którym chemicy nic dotąd nie wiedzieli; warto więc rozpatrzeć, jaką drogą ujawniła mu się obecność tego gazu, który się tak długo ukrywać zdołał.

Z przytoczonych dwu części składowych powietrza jest tlen pierwiastkiem czynnym, który utrzymuje życie i palenie i zawsze jest gotów do działalności chemicznej, gdy azot cechuje się uderzającą obojętnością chemiczną i pozostaje nienaruszonym, tlen zaś zużywa się w jakimkolwiek procesie. Tak różne zachowanie się obu części składowych powietrza nastręcza właśnie metody do badań jego składu. Polegają one na tem tedy, że tlen zabiera się z powietrza przez jakąkolwiek sprawę chemiczną, a po usunięciu pary wodnej i kwasu węglanego odpowiednimi środkami pochłaniającymi pozostający jeszcze gaz, który się wszelkim opiera atakom, jest azotem i oznacza się ilościowo.

Czysty azot daje się wszakże otrzymać i innemi jeszcze sposobami, ze związków chemicznych, które go w składzie swym zawierają. Nadaje się do tego najlepiej substancya, zwana azotanem amonu, który przez ogrzewanie poprostu rozpada się na azot i wodę. Różnica więc obu metod otrzymywania azotu na tem polega, że w jednym razie oswabadzamy go z jego związków, — w drugim zaś z mięszaniny gazów, stanowiącej powietrze, usuwamy wszystkie inne gazy, dopóki nie pozostaje sam tylko azot.

Otóż, dla pewnych względów, które miał przy badaniach swych na widoku, postanowił lord Rayleigh porównać własności azotu, otrzymanego jedną i drugą z tych metod, a wtedy dostrzegł ze zdumieniem, że azot, wydobyty z powietrza, posiada znaczniejszy ciężar właściwy, aniżeli azot ze związków chemicznych oswobodzony, co prowadzi do wniosku, że azot z powietrza oddzielony nie jest zupełnie czysty, ale, że zawiera inny jeszcze gaz, od niego cięższy. Należało więc gaz ten ten cięższy oddzielić i wyróżnić.

Wspomnieliśmy wyżej, że azot swobodny mało jest skłonny do wiązania się chemicznego z innemi ciałami, pomimo wszakże wrodzonej swej ociężałości nie może się opierać pewnym środkom przymusowym. Tak, mianowicie, jeżeli go się przeprowadza po nad rozżarzonemi opiłkami metalu, zwanego magnezem, łączy się z niemi i wydaje związek chemiczny.

Gdy więc w ten sposób postąpił lord Rayleigh z azotem, z powietrza wydobytym, otrzymał w pozostałości gaz ciężki, który już nie był azotem.

Z tych zatem i innych jeszcze doświadczeń, które tu pomijamy, okazuje się, że w powietrzu, oprócz tlenu i azotu, znajduje się stale trzeci jeszcze gaz, od nich cięższy, w ilości około jednej odsetki. Gaz ten oporniejszy jest jeszcze, aniżeli azot, bardziej do działań chemicznych ociężały i dlatego też tak długo przed poszukiwaniami chemików mógł się ukrywać.

Czem jest nowy ten gaz, jestto dotąd tajemnicą i tajemnicą pozostanie, dopóki nie da się do jakiegokolwiek działania chemicznego znaglić. O naturze bowiem danego ciała wnioskuje chemik ztąd tylko, jak się ono względem ciał innych zachowuje. O tem, że dyament jest węglem, ztąd się dowiedziano, że po spaleniu wydaje kwas węglany, jak i węgiel zwykły. Substancya, któraby zgoła działaniom chemicznym nie ulegała, pozostałaby na zawsze zagadką niewyjaśnioną. Żadnej wszakże substancyi takiej chemicy dotąd nie napotkali, dlatego też sądzić wolno, że nowy ten gaz nie będzie wyjątkiem z powszechnej reguły i że zdradzi słabą swą stronę, za którą da się pochwycić.

W każdym razie nie możemy zgoła twierdzić, by gaz ten nieznany był nowym pierwiastkiem, w skład powietrza wchodzącym. Prawdopodobniejszą jest rzeczą, że jest on azotem albo raczej pewną jego odmianą, innym jego stanem alotropicznym, jak mówią chemicy, tak samo jak i tlen znany jest w odrębnym stanie, jako ozon. Kwestyę tę rozstrzygną dopiero dalsze prace, ale odkrycie lorda Rayleigha w uderzający sposób świadczy, jak niewyczerpane pole badań przedstawia nam przyroda, gdy nawet w rzeczy tak doskonale znanej, jak skład ziemskiej atmosfery naszej, nowe zupełnie nastręczają się jeszcze spostrzeżenia.

KRONIKA.

Lwów 22 stycznia.

Zmiana nazwiska. Namiestnictwo zezwoliło p. Arnoldowi Schenker na zmianę nazwiska rodowego na Dankiewicz.

Konkursa. Wydział powiatowy w Bohorodczanach rozpisał z terminem do 20 lutego konkurs na posadę lekarza miejskiego w Bohorodczanach. — Wydział Rady powiatowej w Kossowie ogłasza konkurs na posady: lustratora, pomocnika technicznego i konduktora dróg. Podania do dnia 2 lutego. — Rada szkolna okręgowa w Drohobyczu rozpisała z terminem do 20 lutego konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich. — Sąd powiatowy w Borszczowie poszukuje dyetaryusza.

Nabożeństwo żałobne za spokój duszy ś. p. dra Józefa Rollego (dra Antoniego J.), jako w pierwszą rocznicę śmierci, odbędzie się we czwartek 24 b. m. o godz. 9 rano w kościele OO. Dominikanów.

Za duszę ś. p. Józefa Mrazka, jeneralnego sekretarza krak. Tow. ubezpieczeń urządzają jutro o godz. pół do 9-ej rano w katedze łać. żałobne nabożeństwo urzędnicy lwowskiej filii Tow. Wzaj. Kred. w Krakowie. Zaproszone zostały na nabożeństwo wszystkie tutejsze instytucye finansowe.

W Kole literacko-artystycznem mieć będzie p. Józef Popowski, znany poseł i polityk, odczyt o wzroście mocarstwa rosyjskiego. Początek o godzinie 8 wieczorem we czwartek 24 bm. Wstęp wolny dla gości i członków „Koła“ z rodzinami.

Morderstwo i samobójstwo. W jednym z hoteli w Budapeszcie, Antoni Molnar, zastrzelił 26-letnią Franciszkę Gadomską z Galicyi, a potem siebie.

Prezesem Koła Polskiego w sejmie pruskim wybrany został ponownie radzca Motty, wiceprezesem członek Izby panów hr. Marceli Żółtowski z Czacza. Sekretarzami wybrano ks. Wawrzyniaka i p. Karola Szczanieckiego, kwestorem p. Wł. Jerzykiewicza; do komisyi parlamentarnej wybrano pp. radzcę Mottego, ks. prał. Jażdżewskiego, na zastępców pp. Czarlińskiego i ks. kanonika Neubauera; do komisyi rugów wyborczych p. dr. Dziorobka, do komisyi petycyjnej p. dr. Mizerskiego, do szkolnej prof. Schroedera, do budżetowej ks. dr. Jażdżewskiego.

Odznaczenie. Dr. Grzegorz Ziembicki, prymaryusz szpitala powszechnego we Lwowie, otrzymał krzyż kawalerski francuskiej legii honorowej. Doktor Ziembicki, wychowany we Francyi w Collège St.-Barbe, był w roku 1869 na czele internatu w szpitalach paryskich, a następnie, gdy wybuchła wojna, podążył w pole. Służba młodego medyka pod ogniem nieprzyjacielskim jest niewątpliwie jednym z powodów nominacyi. Liczne prace dra Ziembickiego w dziedzinie medycyny utorowały mu przyjęcie do paryskiej Société de chirurgie (akademii chirurgicznej), dokąd dostęp dla cudzoziemców jest tak utrudniony, że z całej monarchii austryackiej należy do niej tylko czterech członków.

Z Opawy donoszą, że córeczka barona Seefrieda, prawnuczka Najj. Pana, urodzona dnia 4 b.m. w Opawie, zmarła dnia 19 b. m. wskutek nieżytu żołądka. Powodem choroby była zmiana mamki. Powołano lekarza nadwornego z Wiednia, dr. Widerhofera, lecz wszelkie usiłowania ratunku pozostały bez rezultatu. W Opawie objawia się powszechne współczucie dla baronostwa Seefried, tak ciężkim dotkniętych ciosem.

Zgromadzenie tygodniowe Towarzystwa politechnicznego odbędzie się we środę tj. 23 stycznia o godzinie 7 wieczór. Na porządku dziennym dyskusya nad wykładem prof. Gostkowskiego „O eksploatacyi kolei lokalnych w Galicyi“.

O Sienkiewiczu. Pierwszy zapowiedziany odczyt o Sienkiewiczu i jego dziełach wygłosi ks. prałat Jan Gnatowski w sobotę 26 bm. w sali ratuszowej o godzinie 7 wieczorem. Pozostałe bilety nabywać można w księgarniach pp. Seyfartha i Czajkowskiego, oraz pp. Jakubowskiego i Zadusowicza.

Z Iwania (nad Dniestrem) piszą nam: W tych dniach wybuchł pożar w Iwaniu, majątku p. Józefa Sokołowskiego i zniszczył półtrzeciej sterty zboża, wyrządzając szkodę na przeszło 2.000 zł. Dzięki mieszkańcom wioski, którzy pośpieszyli z pomocą, zdołano pożar zlokalizować i ocalić innych 8 stert zboża stojących w pobliżu, oraz budynki. Przyczyna pożaru nieznana.

W kilka dni później wybuchł w Iwaniu pożar na wsi i zniszczył dwie zagrody.

U nas ciepło. Dniestr czysty, bez lodu toczy swe wody, a w ogrodach nad Dniestrem i na stokach skał od wiatru zasłoniętych zielenieje trawa i kwitną fiołki, które Szanownej Redakcyi na okaz przesyłam. W sąsiedztwie zaś śniegi spadły nawalne i grubą warstwą pokryły ziemię.

Tramwaj elektryczny. Zamknięcie rachunków tramwaju elektrycznego za czas od 1 czerwca do 31 grudnia 1894 tj. za siedem miesięcy wykazuje dochodu brutto 139.935 złr. 27 ct. Zajmujące są daty w poszczególnych miesiącach podczas wystawy i po jej zamknięciu: czerwiec zł. 19.672·77, lipiec zł. 27.099·19, sierpień zł. 25.238·15, wrzesień zł. 25.844·83, październik zł. 18·162·20, listopad zł. 11.992·94, grudzień zł. 11·925·19, razem za 7 miesięcy 139.935 zł. 27 ct. Po opędzeniu wydatków wypadnie także dla gminy m. Lwowa pewien procent czystego zysku.

Korpus weteranów wojskowych imienia arcyksięcia Rudolfa we Lwowie rozdzielił w r. 1894 tytułem wsparcia wdowom i sierotom po zmarłych członkach 5.643 zł. Cyfra ta świadczy, jak pięknie i z pożytkiem działa ta instytucya w swoim zakresie. Majątek korpusu wynosi 22,432.38 zł. Członków liczy 1000.

Znowu bajka. Dzienniki nasze doniosły były, że hr. Szuwałów powołał do siebie do Berlina p. Jana Blocha, znanego warszawskiego bankiera i stąd snuły wniosek, że hr. Szuwałów chce się od p. Blocha dowiedzieć o życzeniach i potrzebach ludności Królestwa Polskiego. Tymczasem teraz p. Bloch zaprzecza temu, żeby był kiedykolwiek powoływany przez hr. Szuwałowa i oświadcza w dziennikach warszawskich, że jadąc przez Berlin do Nicei zatrzymał się w stolicy nadsprewskiej i prosił hr. Szuwałowa o audyencyę w celu omówienia sprawy kolei Łódzkiej i Iwangrodzko-Dąbrowskiej.

Lojalność policyi rosyjskiej. W Warszawie stał się fakt następujący: Niejaki p. Nikodem Ehrlich złożył w magistracie z okazyi imienin cesarza Mikołaja II 200 rubli na rzecz tanich kuchni i szpitali. W parę dni potem otrzymał p. Ehrlich wezwanie do policyi, gdzie mu oświadczono, iż zasądzony został na dotkliwą karę za to, że wnosząc swą ofiarę do Magistratu podpisał się Nikodem, a nie „Nuchim“, albowiem będąc izraelitą nie ma prawa używać imienia Nikodem.

Krakowskie Derby. Mianowania do głównego biegu w wyścigach krakowskich w czerwcu 1896 o nagrodę 40.000 koron, zamknięto dnia 15 grudnia 1894. Ogółem do tego biegu zgłoszono 91 koni; przeważają konie węgierskie. Z naszych hodowców mianowali: hr. E. Baworowski trzy konie „Caviar“, „Wyborny“ i „Fornarina“, hr. R. Baworowski „Prince-Gregoire“, p. F. Scazighino „To on“ i „Wanda“, p. W. Schindler „Biegun“, „Genius“, „Kominek“ i „Ludka“ i hr. J. Tarnowski trzy konie, nadto hr. J. Potocki z Wołynia „La belle Helene“ i „Mon Espoir“, a p. Henryk Bloch „Orbite“. Najwięcej koni mianował p. Ryszard Wahrmann, bo aż ośm, po nim znany dobrze z naszych torów ks. Fürstenberg, zapisując ich do tego biegu siedm. Na liście znajdujemy niemal wszystkie nazwiska znanych na torach austryackich hodowców, a więc hr. Andrassych, hr. Apponyego, Blaskowitsów, Capt. Darka (pseudon.), A. Drehera, hr. Esterhazych, konie ze stada „Fenek“, Kodolitscha, Lebaudyego, Pechyego, Trauttmansdorfa, Uechtritza i w. i. Wyścigi krakowskie w świecie sportowym zyskały sobie widocznie już bardzo dobre imię, skoro potrafiły ściągnąć nawet br. Natana Rotschilda, który do „krakowskiego derby“ mianował dwa konie: „Joschko“ i „Trikster“.

Radzca dworu Trzcieniecki, zasądzony przed dwoma laty za malwersacye cłowe na Bukowinie, został w piątek przez Cesarza ułaskawiony, a w sobotę umarł. Zwłoki sprowadzone będą do Tarnopola.

Zmarli. Seweryna z Cieleckich hr. Borkowska, żona Leszka Borkowskiego, znanego autora, umarła we Lwowie w 74 roku życia. — Ks. Maksymilian Łukaszewicz, gr.-kat. proboszcz w Wyszatyczach koło Przemyśla, umarł w 81 roku życia. — Dr. Hausser, lekarz pułkowy i szef wojskowego szpitala, umarł w Tarnowie. — Kazimierz Doliński, właściciel dóbr Mrowla i członek Rady powiatowej rzerzowskiej, umarł we Lwowie.

Stan powietrza. T. o 8 rano + 5° R. w poł. + 4° R. Bar. 746. Spada. Deszcz.

Praktyczny.

A. spotyka B., obładowanego zabawkami dla dzieci.

— A to na co?

— Na Gwiazdkę.

— Na Gwiazdkę?!

— Tak, na Gwiazdkę r. 1895. Co rok o tej porze czynię zakupy na Gwiazdkę. W kilka tygodni po świętach towary te są... o 50 procent tańsze.

Teatr. Dziś we wtorek jako w 32 rocznicę powstania z r. 1863 „Straszny dwór“, opera narodowa w 4 aktach Stanisława Moniuszki. We środę, czwartek i piątek „Madame Sans-Gêne“.

Literatura i Sztuka.

* **Teatr.** Od lat już paru rozreklamowana na wszystkie strony świata, „Madame Sans-Gêne“ Wiktoryna Sardou — zawitała, nareszcie wczoraj, na deski lwowskiego teatru. Z wielkiej chmury mały deszcz — mówi polskie przysłowie — tylko, że co do tego utworu, to, rzeczywiście, spadł drobniutki deszcz z dużego niegdyś talentu francuskiego dramaturga, a właściwie komedyopisarza, ale spadł z chmury jałowej, bo z minionej anegdoty z życia wielkiego człowieka, anegdoty, nie tyle historycznej, ile skandalicznej... Gdyby dzisiejsza moda afiszowa pozwalała na dosadniejsze objaśnienie tytułu zarzuconem już „czyli“, to „Napoleon i praczka“ byłoby najodpowiedniejszym, dopełniającym tytułem do tej „Madame Sans-Gêne“. Z bieżącego obyczajowego materyału wyczerpali francuscy dramatyczni pisarze wszystko — obrobili na wszelki możliwy i niemożliwy sposób niewierność żony, zdradę małżonków, opłacane romanse ubogich młodzieńców, tłuste sielanki półświatka, spryt subretek i rozbijanie rodzin przez awanturnice — wszystko to prześlizgnęło się w komedyach i „sztukach“ francuskich i... wyjałowiła się niwa do szczętu. To też Wiktoryn Sardou odwrócił się od dzisiejszych czasów i zaczął eksploatować przeszłość, ale zaczął się jej przyglądać na swój sposób — szukać w niej materyału takiego, jak dzisiejszy, bo z innym nie dałby może sobie rady. Więc i „Tosca“, i inne tego rodzaju sceny, i „Madame Sans-Gêne“ — to nie historyczne dramaty, lub komedye, lecz wyrwane anegdoty, uscenizowane, a z pomocą tapicera i krawca oprawione w ramy odpowiedniej dekoracyi i wystawy, które, powiedzmy prawdę, są najważniejszymi warunkami podobnych sztuk, spychając ich wartość literacką i artystyczną na plan drugi, na który nawet i szersza publiczność nie zwraca uwagi, bo już dość dla niej, gdy ma piękną wystawę. I w tej najnowszej sztuce Wiktoryna Sardou, wystawa i kostyumy przeważną odgrywają rolę. W Paryżu są one ostatnim wyrazem scenicznego kunsztu — u nas odpowiednio do środków, którymi dyrekcya rozporządza, przeszło to wszelkie oczekiwanie. Barwno, nadzwyczaj starannie i z gustem, przez wszystkie cztery akta, przystrojona była scena, a kostyumy odznaczały się świeżością i zachowaniem wszystkich cech charakterystycznych z tej epoki, w której się rzecz dzieje i jeśli życzyćby czego należało, to chyba tego, aby z równą troskliwością traktowano wystawę historycznych sztuk polskich, gdy są przedstawiane na scenie lwowskiego teatru...

W „Madame Sans-Gêne“ jest właściwie jedna tylko postać opracowana, w której zestrzeliła się siła talentu autorskiego — jest nią owa „księżna gdańska,“ przedtem praczka i wiwandierka, która mimo zmienionej pozycyi towarzyskiej, mimo, że została małżonką marszałka Francyi, zachowała wszystkie cechy ludowego pochodzenia, które ją stawiają w kolizyi komicznej, ale niemniej sympatycznej z wykwintnością cesarskiego dworu, gdzie przebywać i stykać się z nim musi, wszystkie inne figury, nie wyjmując Napoleona I, a jest ich cały legion, to albo postacie epizodyczne, albo wprowadzone przez autora dla jaskrawszego uwydatnienia księżnej-praczki, której dzieje przedstawia właśnie autor w swojej sztuce, dorzuciwszy do nich kilka efektownych, zręcznych i dobrze pomyślanych epizodów.

Dzieje kobiety, która była praczką, a potem księżną i małżonką człowieka, co z sierżanta został marszałkiem Francyi, rzecz prosta, muszą budzić niemałą ciekawość i zjednywać żywą sympatyę dla kobiety, co razem z uczciwością zachowała swoje „ja“, a godności, stanowiska i dostatki zrobiły ją lepszą i nawskróś oryginalną w tem swojem nowem otoczeniu, które jej wcale nie imponuje. „Madame Sans-Gêne“ właściwej bajki dramatycznej nie posiada, zastępuje ją tło historyczne dosyć wierne i kilka scen jaskrawych a barwnych z życia kobiety, która była niczem, a potem wspięła się na najwyższy szczebel towarzyski, sięgający już do dworskiej polityki. Wypieścił też Sardou tę księżnę-praczkę i wyposażył ją tem wszystkiem, co chwyta za serce i zniewala umysły; ale swoją drogą nie jestto już ten autor z dawnych czasów, czuć w nim dekadencyę talentu, posługiwanie się par force zużytymi scenicznymi efektami i powtarzaniem tego, co dawniej daleko lepiej powiedział i zrobił. Jak już wyżej powiedzieliśmy, w „Madame Sans-Gêne“ jest tylko jedna tytułowa rola, która stanowi, jeżeli nie szerokie, to przynajmniej bardzo wdzięczne pole dla aktorskiego popisu. W roli tej talent p. Stachowiczowej zajaśniał w całej pełni. Katarzynę Hübscher grała z nieporównanym wdziękiem, swobodą, naturalnością i z prawdziwym humorem.

Napoleonem był p. Żelazowski; ucharakteryzował się dobrze, grał bardzo poprawnie i z dobrym akcentem artystycznym. Autor jednak zamknął tę rolę w dość banalnych granicach, z których talent artysty nie mógł się wydostać na szersze widnokręgi, tem bardziej, że ten Napoleon w „Madame Sans-Gêne“ potrąca trochę o... operetkę. Inni artyści role swe starannie odegrali. *Iks Ypsylon.*

* **O książce Stanisława Koźmiana** otrzymaliśmy od jednego z naszych literatów następujący artykuł:

Rzecz o roku 1863 St. Koźmiana. (Część druga)

Część druga jest istotnem, prawdziwem dziełem. Ona dopiero obejmuje treść, zadanie i zamiar rozprawy. Część pierwsza jest tylko jej ilustracyą. Z zakończeniem części pierwszej zamyka się opowiadanie. Z początkiem części drugiej rozpoczyna się rozumowanie. Znika pamiętnik, znika „ja“; występuje praca historyczno-polityczna, a z nią pisarz i myśliciel.

Możnaby się dziwić, iż pod względem układu autor wziął za punkt wyjścia epilog wypadków, że — jak *Przegląd* zauważył już — ten epilog znajduje się w prologu do dzieła.

Mniemamy, iż ważne do tego były powody. Przedewszystkiem autor, jak to oświadcza na wstępie, nie pisze historyi, lecz rozprawę historyczno-polityczną, z praktycznem zastósowaniem swoich doświadczeń i zapatrywań do stosunków narodu polskiego. Ztąd wynika, iż musiał najpierw przedstawić czynności ludzkie i fakta, katastrofy, aby módz następnie zastanowić się nad przyczynami i skutkami. Przedłożył on istotę czynu *corpus delicti* a dopiero potem badał jego powody, przebieg wypadków, psychologiczne motywa, które doprowadziły do spełnienia czynu. Jest to — że się tak wyrazimy — studyum prawne, które wymagało przedewszystkiem stwierdzenia winy.

Będąc sam, jak twierdzi, współwinnym, musiał autor określić rozmiary winy własnej i swoich przyjaciół politycznych, uczynić wyznanie szczere, aby módz z całą swobodą, słusznością i skutecznością orzec o winie innych.

Wreszcie niewątpliwie autor usiłował stworzyć dzieło wyłącznie polityczne i oczyścić je z wszelkich domieszek i ozdób, gdyż te zatarłyby jego znamię główne. Ztąd poświęcił stopniowe, kolejne przedstawianie wypadków, na czem polega dramatyczność każdego opowiadania, spotęgowana umieszczeniem na końcu katastrofy.

Autor nie chciał, jak sądzimy, pozostawić czytelnika przeważnie pod wrażeniem tragicznem, lecz przedewszystkiem pod trwałym wpływem nauki, ja-

ką pragnie wydobyć ze zdarzeń i własnych rozumowań. Takim też być winien cel każdej politycznej rozprawy. Więc też nietylko chroni się autor od porywów poetycznych, nie tylko unika lekkiego dowcipu, ale stara się poniekąd, odjąć rzeczy, znamiona literackie, aby tem silniej wycisnąć na niej, zamierzone piętno polityczne, w czem nawet niekiedy cel zamierzony prześciga.

Ktokolwiek zna styl p. Koźmiana, ktokolwiek przypomina sobie, świetny, nieraz porywający sposób, w jaki, w publicystyce dziennej występował, ten musi utwierdzić się w przekonaniu, że zmiana formy i stylu, nie jest tu przypadkową, lecz z góry obmyślaną i postanowioną. Pociągnęła ona za sobą wady swoich przymiotów, a przymioty swoich wad, bo niezaprzeczenie odpowiada duchowi, potrzebie i konieczności rozprawy politycznej.

Istotnie, niepodobna wyobrazić sobie pracy w tym rodzaju, z ustępami starannie wygładzonemi, wypieszczonemi, zakończonemi błyszczącemi konceptami. Każdy rodzaj ma swoje prawa i wymagania formy i stylu. Że im autor poddał się, za złe mu tego wziąć nie można, acz zapewne niejeden czytelnik ubolewać nad tem będzie, iż autor nie chciał dla powłoki, poświęcać treści, że wolał poświęcić ozdoby, niż możliwy skutek czynu, jakim jest podobne dzieło.

Ztąd i styl dzieła. Jeżeli słusznie Buffon powiedział, „styl to człowiek“, niemniej prawdą jest, że styl, to przedmiot. Nie ma dzieła wyższego znaczenia politycznego, któregoby styl był bez zarzutu. Wynika to z istoty przedmiotu.

Czem innem jest opowiadanie historyczne, czem innem rozprawa. W pierwszem są wielce pożądane błyszczące zalety stylu, w drugiej nakazaną jest wstrzemięźliwość. Potoczystość, jasność, nawet świetność, z trudnością idą w parze ze zwięzłością, ścisłością i gruntownością, oraz z suchą konkluzyą, której wymaga każda rozprawa. Tu styl nie może być ani kwiecistym, ani przeźroczystym i nieraz, co się też zdarza w pracy, o której mówimy, trzeba kilka razy zdanie przeczytać, nim się myśl uchwyci.

P. Koźmian nadał części rozprawowej swojego dzieła, cechy jakby matematyczne; ma ona też właściwość matematyki, chociaż pod cyframi czuć wrzące uczucia. Ale jak w matematyce, tak i tu pod koniec rozumowania wychodzi prawda, którą postanowiono udowodnić, droga zaś, która do niej prowadzi, jest mozolną.

W drugiej części wypadki i ludzie służą jedynie do objaśnienia i oświetlenia rozumowania.

Aby dowieść lub uwydatnić to, o czem autor chce przekonać, nie cofa się bynajmniej przed powrotem do wypadków i ludzi, o których już poprzednio mówił, jeżeli prawda, o którą mu idzie, znalazła nowe poparcie w zdarzeniach lub czynnościach ludzkich, poczytuje on wtedy za podrzędny wzgląd, możliwy zarzut, że się powtarza i wstecz kroki stawia, gdyż tym sposobem zbliża się do celu i tem samem idzie naprzód.

Pierwszy tom Części drugiej obejmuje epokę od wojny krymskiej do wybuchu powstania 1863 r.

Nie rozbieramy zapatrywań i twierdzeń autora. Ocena dzieła pod tym względem słuszną być może dopiero po ukazaniu się ostatniego tomu i końcowej konkluzyi.

Stwierdzamy dziś jedynie, iż dwa pierwsze rozdziały Części drugiej są pod względem fachowym znakomitymi, że należą do niepospolitych rozpraw politycznych i wznoszą się ponad zwykły poziom. Stanowią one podstawę Części drugiej i jeżeli się nie mylimy, dzieła.

Wszystko inne w tym tomie jest wyświeceniem, udowodnieniem dwóch pierwszych rozdziałów. Do tego służą wizerunki działających ludzi, kunsztownie oprawione, oraz opis wypadków.

Portrety uderzają podobieństwem i tem wyższem znamieniem, które ręka prawdziwego artysty umie nadać dziełu, uwidoczniając obok fizycznej duchową naturę osoby. Stawiamy w pierwszym rzędzie wizerunki Aleksandra II, Napoleona III, Wielopolskiego, dwóch Zamoyskich: Andrzeja i Władysława, te dwa są misterne tak, iż aczkolwiek w nich błędy nie są zatajone, dodatnie strony uwydatnione są w ten sposób, iż postacie pozostają pięknemi.

Spis wypadków wprawną ręką skreślony, przedstawia stopniowe zmierzanie do katastrofy i klęski. Tu znakomicie uwydatniony jest wzrost spisku i jego istota. Ustęp „o spisku wogóle“ należy do najświetniejszych.

Nadzwyczaj zajmującemi i ważnemi są dokumenty i świadectwa, na które autor powołuje się. Rozmowy i depesze ks. Władysława Czartoryskiego oraz codzienne zapiski osobiste Wielopolskiego wybornie są w książce zużytkowane.

Tom kończy się na wybuchu powstania. Zamknąwszy go, jest się pod wrażeniem nowego światła, rzuconego na te ważne wypadki, odczuwa się silnie, iż jeszcze ściśle zespolonymi są z dzisiejszem naszem życiem, że właśnie w tej chwili czerpać należy w nich niejedną naukę i nabiera się przeświadczenia, iż w piśmiennictwie politycznem polskiem przybyła książka, jakich w niem mało, która oprócz doniosłego znaczenia narodowego, posiada strony, przez które łączy się z ogólnym światem myśli.

K . . . tan.

Rozmaitości.

— **Zażegnywanie chorób.** Powszechnem jest wierzenie, u ludów niecywilizowanych a nawet wśród cywilizowanych w najniższych warstwach, że choroba jest żywą istotą, czemś niby człowiekiem, jadowitem zwierzęciem czy demonem. Wyobraźnia ludu przedstawia, że ta istota czatuje na człowieka, rzuca się na niego, obejmuje go pazurami lub wnika weń. Temu wyobrażeniu odpowiadają niektóre zwroty nowej mowy, która straciwszy pierwotne swe znaczenie świadczy jednak o swem pochodzeniu, jak np. że „febra kogoś napadła“, świadczy o tem postępowanie ludu wobec chorób „zaklinania“, „zamawiania“ itp. Formułka zaklęcia, którą się szepce, mówi, krzyczy lub śpiewa, stosownie do zwyczaju, ma za cel wyprowadzić demona z ciała. „Potęga słowa“ gra przytem główną rolę, jak to widać już u indyjskich zaklęć Atharvedy. Ustalenie poglądu na formułki te nie jest łatwem już z powodu ich rozmaitości wśród ludów, lecz utrudniają jeszcze je wypaczenia i wykrzywienia z biegiem czasu potworzone i to, że kilka formuł spływa się w jedną z powodu, że je razem wymawiać poczęto, zapewne dla lepszej skuteczności. Ale nie wszystkim wystarcza owa potęga słowa, wielu uważa za lepsze zwrócić się wprost do bóstwa i tak formułki niektórych zamawiań zmieniły się w modlitwy. Tak np. Łotysze mają modlitwy, w których wzywają boga do walki z demonami różnych chorób. Bywają zamawiania dokonywane przez samych chorych i takie, które musi ktoś inny wypowiedzieć. Indyanie przekazują tę funkcyę jednemu ze swego plemienia, który nosi tytuł „Wielkiej Medycyny“. Często wzywa się kilku bożków na pomoc, jak to n. p. jest w zaklęciach, jakie na glinianych tabliczkach asyryjskich z 8 wieku przed Chr. odczytać można.

Zgodnie z wyobrażeniem, przedstawiającem choroby jako żywe istoty, zaklęcia wzywają często pomocy gwiazd, żywiołów, drzew i innych rzeczy dla wypędzenia demonów, wyobrażano sobie bowiem, że każdy przedmiot w naturze ma duszę. Tak np. są okolice, gdzie wzywa się pomocy księżyca przeciw bólowi zębów, w zachodnich Prusach i wśród siedmiogrodzkich Sasów powietrza przeciw paraliżom. Na Pomorzu żąda się od jabłoni pomocy przeciw „dwudziestu siedmiu reumatyzmom“, w Szwabii pomocy orzecha przeciw „czterdziestosiedmiorakiej febrze“. Formułki, zwracające się wprost do bóstw, a przyrzekające pokutę, starają się pozyskać ich życzliwość. Chwalą nawet czasem chorobę, aby się jej przypodobać. Inne przypominają bóstwom, że otrzymały ofiarę, że innym pomogły itd. Zaklęcia te mają też swą humorystyczną historyę. Tak np. znana jest anegdota o gramatycznym dyable, który ani myślał się wynosić z ciała chorego, kiedy go zamawiacz wzywał, wymawiając błędnie formułkę: „Ave, male spirite“, aż dopiero kiedy się poprawił i dowiedział: „Ave, male spiritus“, dyabeł opuścił chorego, dodając: „Trzeba było od razu tak mówić!“ Dość powszechnem jest wierzenie, że zamawiania wtedy są skuteczne, jeśli je czyni przy chorym mężczyźnie kobieta, a przy kobiecie mężczyzna.

SEJM

VIII posiedzenie z 22 stycznia.

Posiedzenie dzisiejsze zagaił ks. marszałek o godzinie 11 minut 20. Na posiedzenie przybył JE. minister Jaworski. Urlopy otrzymali ks. Sapieha na 8 dni, p. Krzysztofowicz na 2 dni, a hr. Stadnicki Stanisław na 1 dzień. Przed przystąpieniem do porządku dziennego zabrał głos komisarz rządowy radzca dworu hr. Łoś i odpowiedział na wniesioną na jednem z poprzednich posiedzeń interpelacyę p. Rutowskiego co do aresztowań młodzieży w Tarnopolu. Interpelant zapytywał przedewszystkiem dlaczego władze szkolne, mogąc załatwić tę sprawę we własnym zakresie działania, zwykłymi środkami dyscyplinarnymi, skierowały ją na drogę śledztwa sądowego. Otóż reprezentant rządu wykazał, że z tego powodu nie można władzom szkolnym zrobić żadnego zarzutu. Ze wszystkich bowiem obwinionych, wplątanych w tę sprawę, jest tylko dwóch rzeczywistych uczniów gimnazyalnych i dwóch uczniów seminaryum nauczycielskiego, reszta zaś już dawno opuściła ławy szkolne. Zresztą obowiązkiem każdej władzy jest zawiadamiać sądy o zbrodniach i przestępstwach, jakie dojdą do jej wiadomości. W obec tego musiały i władze szkolne spełnić swój obowiązek, z czego nie można im robić zarzutu.

Zapytują dalej interpelanci, dlaczego obwinieni trzymani są w więzieniu śledczem dłużej niż procedura karna na to pozwala, a trzymani są razem ze złoczyńcami i narażeni na różne przykrości. Otóż co do pierwszego punktu zapytania konstatuje reprezentant rządu, że ów przepis procedury, który nie pozwala trzymać obwinionego w więzieniu śledczem dłużej nad trzy miesiące, nie odnosi się do czynów karygodnych, zagrożonych wysokiemi karami. Niesłusznym jest zarzut, że obwinieni siedzą razem ze złodziejami i innymi złoczyńcami, lecz każdy z nich ma osobną celę i ma dodanego sobie do osobistej posługi jednego z młodych więźniów, odsiadujących lekkie kary za drobne przewinienia. Żaden też z obwinionych nie skarżył sie dotychczas na złe obchodzenie się z nim.

Co się tyczy wreszcie zapytania, kiedy odbędzie się ostateczna rozprawa, oświadcza komisarz rządowy, że w styczniu nie ma kadencyi sądów przysięgłych w Tarnopolu, a najbliższa rozpocznie się dopiero 25 lutego. Śledztwo przeciągnęło się nie z winy sądu, lecz z powodu wielkiej liczby obwinionych (37) i z powodu, że śledztwo w tej sprawie coraz szersze rozmiary przybierało. W każdym razie jest nadzieja, że rozprawa odbędzie się zaraz z początkiem najbliższej kadencyi sądu przysięgłych.

W dalszym ciągu odpowiedział p. Komisarz rządowy na interpelacyę p. Antoniewicza dlaczego włościanie ruscy wzywani są na termina przez władze w uroczyste święta ruskie. Otóż zaznaczył hr. Łoś, iż w dwóch wypadkach przytoczonych przez interpelanta rzeczywiście sądy przez pomyłkę zawezwały strony w święta ruskie, w innych zaś wypadkach strony zgłosiły się same. Zresztą więcej rzeczy te powtarzać się nie będą, gdyż prezydyum Namiestnictwa wydało okólnik do wszystkich władz z żądaniem, aby Rusinom nigdy nie naznaczano terminów w święto ruskie.

Przystąpiono do porządku dziennego. Sprawozdanie Wydziału krajowego o krajowej szkole gospodarstwa lasowego odesłano do komisyi gospodarstwa krajowego.

Dr. Zoll motywował swój wniosek w sprawie zmiany ustawy krajowej z roku 1886 o konkurencyi kościelnej. Podniósł, że Sejm już kilkakrotnie uchwałami swemi dawał dowód, że uważa za konieczną zmianę w rozmaitych kierunkach krajowej ustawy konkurencyjnej. Uchwały Sejmu powzięte w tej mierze nie mogły być przeprowadzone głównie z powodu przeszkód, wynikających z ustawy państwowej z dnia 7 maja 1874 roku. Przeszkody te w najnowszej ustawie z dnia 31 grudnia 1894 r. zostały usunięte i ustawodastwu krajowemu w §. 7 tej ustawy wyraźnie zastrzeżono prawo ustanowienia bliższych przepisów co do przeprowadzenia obowiązku do konkurencyi kościelnej, nałożonego na wszystkie w owej ustawie wymienione osoby, zwłaszcza na tak zwanych forensów, następnie w §. 8 temu ustawodawstwu zastrzeżono prawo zwolnienia parafian, utrzymujących kościoły filialne od obowiązku konkurowania do wydatków na kościół i budynki parafialne, szczególniej w tych przypadkach, gdy przy takim kościele był eksponowany osobny duchowny.

Mówca wnosi przeto, aby Sejm wezwał rząd, by po porozumieniu się ze wszystkimi ordynaryatami naszego kraju, w jak najbliższym czasie przedłożył projekt noweli do ustawy krajowej z dnia 15 sierpnia 1886, w którymby uwzględnione były wszelkie życzenia objawione w dotychczasowych uchwałach Sejmu. Wniosek ten odesłano do komisyi administracyjnej.

P. Polanowski podniósłszy wielkie zasługi, jakie położył śp. Oktaw Pietruski, którego pamięć otaczają czcią wszyscy, uczynił wniosek, aby Sejm przyznał pensyę dożywotnią wdowie po śp. Oktawie Pietruskim. Wniosek ten odesłano do komisyi budżetowej.

P. Okuniewski podniósłszy, że §. 8 ustawy z 31 grudnia 1894 usunął już ustawowe przeszkody, które nie dopuszczały zwolnienia filialistów od niesłusznego, bo podwójnego ciężaru konkurencyjnego na kościół macierzysty i filialny, oraz na budynki parafialne, wnosi, aby Sejm uchwalił ustawę uwalniającą parafian tych miejscowości, w których znajduje się odpowiedni, chociaż nie parafialny kościół (cerkiew) publiczny, ich staraniem utrzymywany, od konkurencyi do wydatków na budynek kościoła macierzystego. Wniosek ten odesłano do komisyi administracyjnej.

Następnie na wniosek komisyi drogowej polecono Wydziałowi krajowemu, aby do budowy części drogi gminnej Czchów-Jakóbkowice przyszedł w pomoc Wydziałowi powiatowemu w Nowym Sączu zasiłkiem z funduszu subwencyjnego dla dróg gminnych i powiatowych do wysokości 50 pct., a dodatkowo z funduszu na rekonstrukcye dróg krajowych przeznaczonego do wysokości 25 pct., a więc razem do wysokości 75% ogólnych kosztów budowy.

Na budowę mostu na rzece Stryj we wsi Kruszelnica przyznano z funduszów krajowych subwencyę 15 pct ogólnych kosztów, a nadto z funduszów pożyczkowych udzielono bezprocentowej pożyczki do wysokości 25 pct.

Z kolei uchwalono projekt ustawy wyłączającej gminę i obszar dworski w Pstrągowej z okręgu reprezentacyi powiatowej w Ropczycach, a przydzielono je do reprezentacyi w Rzeszowie.

Z kolei nastąpiło sprawozdanie komisyi szkolnej o rządowym projekcie ustawy o zakładaniu i urządzeniu publicznych szkół ludowych, i obowiązku posyłania do nich dzieci. Komisya szkolna zaleca uchwalenie tego projektu z bardzo nieznacznemi zmianami. Główne postanowienia tej ustawy podaliśmy w swoim czasie w streszczeniu. Najważniejsze z nich są, że w 32 miastach obowiązek uczęszczania dzieci do szkoły przedłuża się z 6 na 7 lat — a we wszystkich szkołach dzieci dopiero z ukończonym 7-mym rokiem życia (a nie 6-tym jak dotychczas) obowiązane są uczęszczać na naukę. Komisya przywróciła jednak dzisiejszy stan, tj. że obowiązek szkolny rozpoczyna się z szóstym rokiem. Sprawozdawcą komisyi jest p. St. Badeni.

W dyskusyi zabrał głos p. Okuniewski. Przyznał on, że ustawa jest przejętą duchem postępu i dobrą wolą, ale musi wytknąć kilka jej błędów. Oto dlaczego komisya szkolna zaprowadziła znów szkoły wydziałowe, kiedy je uznano przed kilkunastu laty dla Galicyi za nieodpowiednie i nie przynoszące pożytku żadnego. Mowcy wydaje się to niestosownem, aby sprawy i rzeczy przed kilku laty uznane za złe, dziś uznawać za dobre. Sądzi też mówca, że szkoły wydziałowe, zaprowadzone dziś, nie przyniosą wielkiego pożytku, gdyż brak jest odpowiednio wykształconych nauczycieli.

W dalszym ciągu krytykował mówca program tych szkół, nie podobało się mu to, że program ten dla szkół żeńskich i męzkich jest jeden i ten sam, tylko uczyniono co się tyczy szkół żeńskich jedno zastrzeżenie, a mianowicie powiedziano w §. 13 ustawy, że nauka w szkołach żeńskich powinna się stosować do właściwych tej płci potrzeb, usposobień i przyszłego jej stanowiska w rodzinie i życiu. Zastrzeżenie to, zdaniem mówcy, nic nie określa. W końcu jeszcze krytykował mówca §. 30 ustawy, traktujący o obowiązku uczęszczania do szkoły i podniósł, iż paragraf ten przyznaje Radzie szkolnej krajowej wielkie prawa w sprawie uwalniania uczni od przymusu szkolnego.

Sprawozdawca Stanisław hr. Badeni skonstatował przedewszystkiem, że jakkolwiek p. Okuniewski niejedno wytyka niniejszemu projektowi, jednakże przyznaje, że wieje z niego duch zdrowy i postępowy. Konieczność wprowadzenia szkół wydziałowych musi dziś każdy uznać, uznała to także kilkakrotnie komisya szkolna. Że się przed laty kilkunastu szkoły te u nas nie przyjęły, to nie powinno nas odstraszać. Wtedy bowiem nie był jeszcze dla nich grunt przygotowany, dziś jednak mamy już podręczniki, mamy nauczycieli, zresztą dzisiejsza szkoła wydziałowa jest inną od tej, którą wprowadzono przed laty. Dziś może szkoła wydziałowa przygotowywać do rozlicznych szkół zawodowych, których wówczas nie było, a także seminaryom nauczycielskim oddać ważne usługi, dostarczając im bardziej jednolitego materyału.

Po tem przemówieniu uchwaliła Izba przejść do debaty szczegółowej.

Godzina 1-sza posiedzenie trwa dalej.

* * *

Wydział krajowy uchwalił spłacić przed terminem pożyczkę krajową 4 i pół procentową z roku 1883. Z tego powodu wylosowane zostaną w dniu 1 lutego obligacye tej pożyczki w sumie jednego miliona reńskich zamiast 30.000 zł., jak to w planie umorzenia oznaczono.

Część ekonomiczna.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na targ poniedziałkowy spędzono 5769 sztuk. Cena za woły liche 52 do 55, ciężkie 56 do 58, prima 59 do 61 zł.

W porównaniu z zeszłotygodniowym targiem cena spadła o 2 ct.

Telegramy „Przeglądu“.

Praga 22 stycznia. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu czeskiego postawił p. Vaszaty wniosek o zaprowadzenie w szkołach średnich nauki języka rosyjskiego, tudzież o utworzenie najwyższego trybunału sądowego dla krajów korony czeskiej.

Cieplice 22 stycznia. Wczoraj odbyło się tu zgromadzenie politycznego stowarzyszenia robotniczego „Postęp,“ w którem wzięło udział przeszło 2000 uczestników. Po zgromadzeniu przeciągali robotnicy ulicami, wznosząc okrzyki na cześć powszechnego prawa głosowania. Może byłoby przyszło do wybryków, gdyby nie to, że starosta tutejszy ks. Hohenlohe zatrzymał pochód na placu targowym i swojem życzliwem, ale stanowczem wystąpieniem i perswazyami skłonił robotników do spokojnego rozejścia się.

Berlin 22 stycznia. W sejmie pruskim w toku debaty budżetowej oświadczył Boetticher, że między nowozamianowanymi ministrami a prezesem gabinetu panuje zupełna zgoda co do przyszłej polityki gabinetu, a o braku solidarności nie ma nawet mowy. Poruszonym przez p. Richtera pogłoskom o wrzekomem przesileniu, urzędowe zaprzeczenie *Reichsanzeigera* położy zapewne koniec. W końcu oświadczył Boetticher, że nie ma powodu przypuszczać, ażeby cesarz miał zamiar stanowisko zajmowane dziś przezeń (t. j. przez Böttichera) kimś innym obsadzić.

Ateny 22 stycznia. Trzystu studentów chciało urządzić demonstracyę przed pałacem królewskim, strzeżonym przez wojsko, rozeszło się jednak spokojnie. Prasa opozycyjna gani to, że następca tronu brał udział w niedzielnych mityngach studenckich.

Grac 22 stycznia. W sejmie styryjskim motywował wczoraj ks. kanonik Karlon wniosek o rozszerzeniu przymusu szkolnego w tym duchu, aby dzieci obowiązane były uczęszczać sześć lat do szkoły ludowej i cztery lata na niedzielną naukę dopełniającą. Nadto żądał ks. Karlon uchwalenia rezolucyi, domagającej się, ażeby ustawodawstwo szkolne należało zupełnie do kompetencyi sejmów.

Br. Hackelberg oświadczył imieniem stronnictwa liberalnego, że ma pewne wątpliwości, czy sejm jest w prawie uchwalania tego wniosku, gdyż na mocy ustaw zasadniczych prawodawstwo w sprawach szkolnych zastrzeżone jest radzie państwa. Mimo to głosować będzie mówca za odesłaniem tego wniosku do komisyi, gdyż nowela szkolna z r. 1883, tudzież rozmaite ulgi w obowiązku uczęszczania do szkoły utworzyły stosunki wymagające koniecznie naprawy.

Peszt 22 stycznia. Sejm węgierski wybrał Szilagyiego swym prezydentem. Szilagyi obejmując przewodnictwo, podziękował za to wysokie odznaczenie i oświadczył, że prezydyum izby starać się będzie bronić konstytucyjnych praw wszystkich, w skład izby wchodzących czynników, strzedz będzie także mniejszości w wykonywaniu jej obowiązków konstytucyjnych. W tym celu prosi Szilagyi o poparcie wszystkich członków izby. (Oklaski.)

P. Ugron oświadczył, że stronnictwo jego jak najchętniej popierać będzie p. Szilagyiego, jeżeli on tylko zapomni o tem, kto go na tę godność wyniósł. (W sali powstaje hałas).

P. Mazdarasz wyraził przekonanie, że nowy prezydent spełni swój obowiązek.

W dalszym toku rozwinęła się debata nad deklaracyą prezesa gabinetu Banffy'ego.

P. Meltzl (Sas siedmiogrodzki) oświadczył, że dawniej istniała nieufność między narodem węgierskim a Sasami, których uważano za wrogów państwa. Dziś zniknął już ten niedorzeczny przesąd, to też mówca sądzi, że i prezes ministrów myśli dziś inaczej, aniżeli wówczas, gdy między nim jako nadżupanem w Siedmiogrodzie a tamtejszymi Sasami istniały poważne nieporozumienia.

Prezes ministrów Banffy oświadczył, że jego zdaniem nie jest wprawdzie rzeczą słuszną, ażeby narodowości jako takie formułowały swoje programy, przyznaje jednak, że program tak zwanego saskiego stronnictwa ludowego nie zawiera nic, coby się sprzeciwiało ustawom węgierskim, dlatego też program rządu odnosi się także do Sasów. (Huczne oklaski na prawicy).

P. Hermann zapytał, dlaczego Wekerle został po prostu oddalony ze swego stanowiska, gdyż reskrypt cesarski nie zawiera nawet zwykłej w takich razach wzmianki, iż Wekerle „na własną prośbę“ otrzymuje dymisyę. W końcu oświadczył mówca, że opozycya wytrwa na dotychczasowem stanowisku.

P. Asboth rzekł, że nie może popierać rządu, który trzyma się polityki kościelnej stronnictwa liberalnego, p. Ugron zaś zarzucił stronnictwu liberalnemu, że wszystkimi godziwymi i niegodziwymi sposobami stara się utrzymać przy władzy. Zdaniem mówcy ugoda z roku 1867 nie jest ustawą obliczoną na wieczne czasy, lecz musi się rozwijać, a mówca nie może popierać rządu, stojącego na gruncie tej ugody.

Dalszy ciąg debaty odbędzie się dziś.

Wiedeń 22 stycznia. *Nowa Presse* ogłasza dosłowny tekst dwóch not bułgarskich, wystosowanych do rządu austro-węgierskiego w sprawie bułgarskiej akcyzy i bułgarskiego podatku od patentów. W pierwszej z tych swoich not p. Naczowicz, bułgarski minister spraw zewnętrznych, oświadcza, że założony przez Austro-Węgry protest przeciw wspomnianym dwom opłatom jest dla Bułgaryi bardzo szkodliwy. Dalej stara się p. Naczowicz udowodnić, że owa akcyza której przyjęcie przyrzekło już kilka innych wielkich mocarstw, ma jedynie na celu uwolnić Bułgaryę od finansowych kłopotów, a koniec końców obciąża jedynie bułgarskich konsumentów.

Niewprowadzenie w życie ogłoszonej i sankcyonowanej już ustawy byłoby krzywdzącem bezprawiem, a swoją drogą zburzyłoby zupełnie równowagę w budżecie Bułgaryi. Rząd bułgarski jest gotów poczynić wszelkie możliwe koncesye w mającym się zawrzeć definitywnie traktacie handlowym, a prosi jeno Austryę teraz, aby swój protest cofnęła. W przeciwnym razie teraźniejszy gabinet będzie musiał ustąpić miejsca innemu, który jednak również nic zrobić w tej mierze nie potrafi.

Druga nota wykazuje, że owa akcyza jest opłatą wewnętrzną i że ten właśnie charakter wewnętrzny przyznała jej już większość mocarstw. Anglia i Belgia zgodziły się już najwyraźniej na pobór tej akcyzy. Rząd stoi więc w obec faktu dokonanego. Austro-Węgry zrobiłyby więc najlepiej, gdyby się zadowolniły przyrzeczeniem rządu bułgarskiego, że ani liczby opodatkowanych artykułów handlu, ani wysokości podatku nie podwyższy.

Nota Naczowicza nazywa protest Austryi przeciw podatkowi od patentów wprost wypowiedzeniem wojny, ponieważ przyjęte przez sobranie zmiany są tak nieznaczne, że opozycyi Austryi zupełnie nie usprawiedliwiają. Nota nazywa stanowisko, zajęte przez Austryę, pełnem szykan i najwyższe zdumienie wywołującem. Przyniosłoby ono korzyść tylko Rosyi.

Równocześnie otrzymuje *N. Presse* telegram z Sofii, w którym czytamy, że opozycya przeciw akcyzie coraz głośniej i wyraźniej uwidocznia się w kraju.

Paryż 22 stycznia. Bourgeois oświadczył wczoraj, iż nie podejmuje się misyi utworzenia gabinetu. Prezydent Faure pertraktować będzie w tej sprawie z Poincarém, a następnie z Cavaignac'iem.

Wiedeń 22 stycznia. Dochody austryackich kolei państwowych wynosiły w grudniu 1894: 6,556.990 zł., a zatem 535.851 zł. więcej, a niżeli w grudniu 1893. Dochody za cały rok 1894 wynosiły 85,686.958 zł. tj. o 5,877.601 zł. więcej, aniżeli w r. 1893.

Berlin 22 stycznia. *Nordd. Allgem Zeitung* zaprzecza stanowczo doniesieniu niektórych pism, jakoby na wiosnę miał się odbyć zjazd ministrów, kierujących polityką państw, należących do trójprzymierza.

Luisville 22 stycznia (w stanie Kentucky). Parowiec „State of Missouri“ płynący na rzece Ohio ugodził koło Alton na podwodną skałę i zatonął bezzwłocznie, a wraz z nim poszło na dno trzydzieści sześć osób.

Nowy Jork 22 stycznia. Bastówka tutejszej służby tramwajowej przybiera tak groźne rozmiary, że celem zapobieżenia możliwym wybrykom, powołano 7000 milicyi pod broń.

Rzym 22 stycznia. Dziennik urzędowy ogłosił dekret królewski z 13 stycznia zamykający sesyę parlamentu.

Ateny 22 stycznia. Na wczorajsze posiedzenie parlamentu nie przyszedł ani jeden poseł z opozycyi. Pomimo to był w izbie komplet potrzebny do powzięcia uchwał, co uważają jako wzmocnienie pozycyi gabinetu. Pogłoski, jakoby król chciał abdykować, są zmyślone. W mieście panuje zupełny spokój, a ostatnie demonstracye są tylko zwykłym manewrem opozycyi.

Nowy York 22 stycznia. Między bastującą służbą tramwajową a wojskiem przyszło do starcia. Przed stajniami tramwajowemi ustawiono armaty. Ludność stoi po stronie bastujących i daje im pieniądze i żywność. Wieczorem po raz drugi starli się bastownicy z wojskiem, które dało kilka salw karabinowych. Liczba zabitych i rannych dotychczas nieznana.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
we Lwowie — ulica Trzeciego Maja, 3.

Przyjechali dnia 21 stycznia. K. hr. Scipio z Krakowa. B. hr. Lasocki z Krakowa. W. hr. Zamoyski z Zakopanego. B. Karczewski z Królestwa polskiego. Z. baron Heydel z Królestwa polskiego. J. Wessely z Bukowiny. J. Dembowski ze Lwowa. A. Micewski z Krechowa. S. Stutzer z Wiednia. L. Liebel z Wiednia. S. Szczepanowski z Wiednia. Dr. A. Rapoport z Wiednia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 21 stycznia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 217·— do 220·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 297.— do 300·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 448.— do 460.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·30 do 102·—, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— 100·70, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·50 do 101.20, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·— do 97·70 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97·50 do 98·20, 4 proc. los. w 56 lat. 97·30 do 98·—.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97·50 do 98·20 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.00 do —·—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 —·—, 4 pół proc. 101.— do 100·70, 4 proc. z r. 1891 96.60 do 97·30, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 97·30 do 98·—.

Monety. Dukat cesarski 5·81 do 5.91, Napoleondor 9.85 do 9.95, P. imperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.27 do 1.33, 100 marek niemieckich 60.80 do 61·20.

Wiedeń 21 stycznia. Notowania wieczorne. Kredyty 410·60, węgierskie kredyty 501.75, anglobank 180.75, bankverein 155.—, unionbank 313.50, länderbank 281.50, staatsbahny 395.75, lombardy 104.50, elbethale 274·00, akcye tytoniowe 232·—, rima 282.75, alpiny 95·30, renta majowa 100.42, węg. renta złota 124.35, austr. renta koronna 101.25, losy tureckie 72.70, węg. renta koronna 98·76, marki 61.05, ruble 133.62.

Wiedeń 22 stycznia (godz. 11 w połudn.) Kredyty 411.25, kred. węg. —.—, Anglobanki 182.—, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 282.40, Akcye tyton. —.—, Staatsbahny 396.35, Lomb. (z kup.) 104.25, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —·—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 61.02, Losy tureckie —·—.

16)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Zresztą, chcecie się żenić, chłopcy — dodał, konfidencyonalnie zamknąwszy drzwi za sobą — to się już żeńcie z Gracyą Brande.

— Jakto, ojcze... obaj naraz? — zaśmiał się Andrzej.

— Każdy niech po kolei próbuje szczęścia. Dick starszy, to mu zostawić pierwszeństwo. Po starszemu na gałęź. Jak jego panna odrzuci, to ty stań do apelu.

— Dziękuję za łaskę. Ustępuję placu Dickowi. A propos, wszak jutro ma być polowanie? — rzekł Andrzej, chcąc zmienić przedmiot rozmowy.

— Mogłoby być, gdyby Dick raz zebrał się na odwagę osaczyć zwierzynę w kniei — odparł starzec, śmiejąc się z własnego konceptu.— Zawsze żałowałem, że jeden z was nie urodził się dziewczyną, ale nawet gdyby tak było, żaden z was nie dorównałby Gracyi. Amy jest dobra kobiecina, w sam raz dla Harryego, ale nam jakaś obca, a Gracyę znam od dziecka, piastowałem ją na ręku i lubiłem od maleństwa. Marnuje się biedactwo pod opieką tego starego osła Forde Cusacke'a. Szkoda jej. Dobre to i prawe do szpiku kości. Spytajcie się matki. Kobiety rozumieją się między sobą. Wasza matka to kapitalna kobieta. Ile macie mózgu w głowie, toście po niej wzięli. A Gracya dorównywa jej pod każdym względem. Widzicie, jak się zgadzają z sobą. A dzisiejsze dziewczęta, pamiętajcie to sobie, nie wszystkie są dobrze wychowane. Kokietki, pusto mają w głowie i często pusto w kieszeni. Otóż Gracya jest w całem znaczeniu dobrze wychowana. Zaraz znać dobry ród, dobrą krew. Jeden z jej przodków zginął w bitwie pod Hastings. A jeżeli czego na świecie nienawidzę, to mezaliansów. Co to jest wziąć żonę Bóg wie jakiego pochodzenia? Zawsze to jak szydło z worka wyjdzie na wierzch, a nie, to choć na dzieciach się odbije. Tak musi być.

Andrzejowi płomienie uderzyły na twarz.

— W dzisiejszych demokratycznych czasach ludzie tak dalece nie zastanawiają się nad temi rzeczami — rzekł, strzepując z ubrania popiół od cygara.

— Tem ci gorzej. Wszystko idzie ku złemu. Nie, nie... tego mi nie wmówisz, Jędrku. Nie wymagaj, abym przyjął do domu synowę z ladajakiego domu i może jeszcze regiment plebejuszowskich wnuków.

— Nie mogę znosić takich mocnych cygar. Głowa mnie rozbolała Dobranoc — rzekł Andrzej wychodząc.

— Baba! — rzekł ojciec, kiwając głową. — Ot, na co mu ten głupi rozum? Rozniewieściał zupełnie. Wszystko mu szkodzi. Podaj mi koniak, Dicku.

— Biedak! — rzekł brat. — Nie może jakoś przyjść do siebie po tej chorobie. Wszystkiego tego narobiła Georginia Vivian.

— Twoja matka przysięga, że to nie Georginia, ale nadmiar pracy. Licho go tam wie! Wy młodzi nie umiecie się kochać dzisiaj. Pierwszy raz, jak mi matka wasza dała odkosza, miałem ochotę palnąć sobie w łeb. Ale rozmyśliłem się, zwłaszcza, że pistoletu nie było pod ręką i że to był dzień wielkich wyścigów Derby. Szkoda byłoby opuścić taki widok. Poszedłem więc, zgrałem się jak stare skrzypce, a nazajutrz wróciłem do szarży.

Tej nocy Andrzej nie mógł zmrużyć oka; rzucał się gorączkowo na łóżku, przypominając sobie najdrobniejsze zdarzenia dnia ubiegłego. Dlaczego do tej pory odkładał z dnia na dzień poznanie się z Gracyą Brande? Czy instynkt samozachowawczy ostrzegał go przed grożącem niebezpieczeństwem? Czemuż nie spotkał jej przed wyjazdem do Bretanii? Chciałby był tę zapadłą krainę wymazać z mapy Europy i z pamięci własnej, tymczasem mara wspomnień nie przestawała dręczyć go dniem i nocą. Nie mógł on wobec zapotrzebowań i wydatków na utrzymanie rodziny pozostawić bez użytku bogatych materyałów artystycznych, jakich mu dostarczył pobyt w znienawidzonym przez siebie kraju; to też cała serya skopiowanych przez niego bretońskich szkiców, ukazująca się od pewnego czasu w pismach peryodycznych, została teraz zebrana przez niego i wydana w osobnej odbitce ilustrowanej jego ręką.

— Mówisz pan, że nie lubisz Bretanii i Bretończyków, a opisujesz ich w tak zachwycający sposób, że czytelnik nie może się od nich oderwać — zauważyła pewnego razu Gracya.

— Może dlatego, że widziałem ich zanadto zblizka i zbyt długo zasiedziałem się wśród nich. Bielmo spadło mi z oczu.

— Przypatrz się temu weselu, Gracyo — rzekła lady Zuzanna, podając jej karton. — Prawdziwa sielanka w całem znaczeniu. Trudno uwierzyć, aby w tym prozaicznym wieku odbywały się podobne uroczystości.

— Czy to malownicze wesele istotnie się odbyło, czy też zrodziło się tylko w bujnej pańskiej wyobraźni? — spytała z uśmiechem młoda dziewczyna.

— Brałem w niem sam udział — odparł posępnie.

— Istny obrazek ze średnich wieków... kartka wycięta ze starej kroniki — ciągnęła dalej lady Marlowe z zapałem. — Ten gawot pod drzewami, te wspaniałe typy wiejskie, te ruchy pełne rubasznej jakiejś wesołości są niezrównane. Ale ze wszystkich twoich szkiców najbardziej zachwyca mnie Korigana.

Na przeciwległej ścianie, z płomienistemi oczyma, które wiecznym wyrzutem ścigać się zdawały Andrzeja, wisiał portret jego żony, zrobiony wodnemi farbami, w pozie, w jakiej ją ujrzał po raz pierwszy nad leśnem źródłem. Tylokrotnie dyskutował z matką nad zaletami tego obrazu, że tem trudniej przychodziło mu wyznać jej stosunek, jaki go łączył z tą, która pozowała na model. Lady Zuzanna odszukała go sama na dnie starej teki, zapełnionej szpargałami i odrazu przywłaszczyła go sobie, uznając za najcenniejszy okaz z całego zbioru.

— Ta Korigana to zuchwała dziewczyna — rzekł Dick. — Zaczepia każdego i narzuca mu małżeńskie śluby, a w razie odmowy oczyma swemi wysysa mu życie. Aż ciarki przechodzą na tę myśl.

— To tylko w baśni tak się dzieje — zaprotestowała Gracya. — Złośliwość męzka przeciw naszej płci wymyśliła takie myty i podania bajeczne. Ale ten portret przedstawia dziewczynę, którą brat pański znał, nieprawdaż, panie Marlowe? Wygląda ona na dobrą, pracowitę, uczciwą dziewczynę, choć nieco szorstką i gminną.

— Tak; znać na niej pracę ciężką, wytrwałość w cierpieniu i zupełny brak umysłowych zdolności — komentowała dalej lady Zuzanna, przypatrując się obrazowi przez lornetkę. — Może do tej pory wyszłą już za rubasznego chłopa, który ją bije.

— Oczy ma cudowne — mówiła Gracya, stając zachwycona przed portretem. — Jakież to widzenie majaczy przed tym natężonym, jakby wylękłym wzrokiem gazeli utkwionym w przestrzeń? Czy widmo życia, czy też przeznaczenia? A te biedne, bose nóżki... Mimowoli przychodzi na myśl, jak często ciernie i głogi tej ziemi pokaleczą je do krwi. A ten symboliczny ciężar na białych ramionach...

— Niech już pani nie przypatruje się jej dłużej, bo panią ogarnie tak nieprzyjemne uczucie, jak mnie. Ot, niech pani lepiej raczy co zaśpiewać.

Gracya usiadła do fortepianu, a głos jej czysty i dźwięczny uniósł Ryszarda w siódme niebo rozkoszy. Wybrała prostą ludową balladę, znaną pod tytułem „Huntingtower". Zdradziecki kochanek wyznaje w niej dziewczynie, której serce wykradł z piersi, że ma żonę i troje maleńkich dzieci. Zawiedziona Joasia opłakuje los swój rzewnemi wyrazy, dopominając się o zwrot swego serca i skradzionych pocałunków.

— Słuchajcie! — zawołała lady Zuzanna, gdy Gracya skończyła śpiewać, a jednocześnie z górnego piętra rozległ się głośny krzyk rozkapryszonego dziecka. — Trzecie pokolenie podnosi głos przeciw podobnemu bezprawiu!

— Bęben ma tęgie płuca — dodał jenerał, a pani Henrykowa Marlowe śpiesznie opuściła salon, aby iść zobaczyć, co się stało jej synkowi. — Już co ten to potrafi utorować sobie drogę w życiu.

— Miałem nadzieję, że skończyliśmy już na dzisiaj z tym aniołkiem — żalił się Dick. — Ciągle wszyscy podają go sobie z rąk do rąk, jakby czarną kawę lub likier. Co to za utrapienie ci milusińscy!

— O! Dicku, zapominasz, że to nasz pierwszy i jedyny wnuk! — ujęła się za nim lady Zuzanna.

— Nikt nigdy nie użala się nad cierpieniami uciemiężonych stryjów — rzekł Dick.

— A pytam, kto w sekrecie daje maleńkiemu cukierki i nosi go na głowie? — przerwała Gracya, śmiejąc się. — Kto... jeżeli nie stryj Dick, bo nie stryj Andrzej.

— Wyznaję, że lubię dzieci z pewnego oddalenia tylko — rzekł Andrzej, łamiąc w rozdrażnieniu szyldkretowy „coupe papier" w ręku.

Ogarniała go wściekłość na myśl, że w zrujnowanym bretońskim zamku odbywała się zapewne ta sama scena rodzinna z jego dzieckiem, jak tu z synem Harry'ego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski.

Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządza W. Hodak.